

CZWARTA KONCHA

Błękitnym oczom

Aux yeux bleus

Rozdziawiony laptop patrzył na mnie z wyrzutem pustą stroną w Wordzie.

Wymyślanie ciekawych ćwiczeń z gramatyki francuskiej dla moich studentów z Florida Atlantic University to mało ekscytujące zajęcie, a jutro miałam grupę „dociekliwych”, takich, co to chcą wiedzieć, ale inaczej. I to „inaczej” musiałam za każdym razem jakoś wykonypować.

Żeby usprawiedliwić własne intelektualne lenistwo, zaczęłam robić ciasto dyniowe – *pumpkin bread* – moje ulubione jesienią. Oprócz *purée* z dyni składały się na nie żurawiny, syrop klonowy i kakao. Już miałam wszystko przełożyć do szklanej formy, już nawet zastanawiałam się, jakby tu jeszcze opóźnić chwilę, w której usiądę do laptopa, kiedy zadzwonił telefon.

– Dzwonię z ogłoszenia – powiedział kobiecy głos z wyraźnym akcentem. Byłam pewna, że to ktoś, kto mówi lepiej po francusku niż po angielsku.

– *Vous parlez français?* – spytałam.

– *Oui!* To pani dała ogłoszenie w „Pelikanie”? – Głos wyraźnie się ożywił. – Chodzi o moją mamę..

– Chce się uczyć francuskiego?

– Nie, nie. Bardzo proszę pozwolić mi wytłumaczyć. Mam nadzieję, że pani mi pomoże... Mieszkamy tu na południu kilka miesięcy w roku, zimą, potem wracamy do Nowego Jorku. Chodziłoby mi o to, żeby mama mogła przebywać z kimś, powiedzmy dwa dni w tygodniu, nie więcej, ale chodziłoby nam o weekend...

– Moje ogłoszenie dotyczy prywatnych lekcji francuskiego na każdym poziomie – przerwałam bardzo łagodnie. Nie będę się zajmowała opieką nad starszą panią. Kobieta chyba nie przeczytała dokładnie!

– No właśnie, moja mama jest z pochodzenia Francuzką. Zna dobrze angielski, ale nie lubi mówić w tym języku. Jest osobą bardzo samodzielną, ma osiemdziesiąt osiem lat, ale świetnie sobie ze wszystkim radzi. Ma szerokie zainteresowania, głównie humanistyczne. *She is a very sharp lady!* – dodała córka najwyraźniej zdenerwowanym głosem i nie wiadomo dlaczego po angielsku.

– To chyba raczej nie ja, wie pani, to nie jest coś, czego mogłabym się podjąć, do tego wspomniała pani, że chodziłoby o weekend...

– Ale gdyby pani mogła spróbować, bardzo proszę. – Miała taki melodyjny głos. – Proszę do nas przyjechać, powiedzmy, jutro wieczorem, po prostu spotkać się z mamą, porozmawiać. I wtedy zdecydować, dobrze?

Jakiś rodzaj idiotycznego przeczucia mówił mi, że racjonalnie jestem na nie, ale emocjonalnie na tak. Natura ludzka! Kobieca, dodałby mój mężczyzna. Górę wziął we mnie kartezjański umysł i palnęłam:

– Jakie wynagrodzenie? Przepraszam, że tak obcesowo. – Tu dobre wychowanie zgasiło we mnie *businesswoman*, która nawet nie zdążyła się jeszcze narodzić!

– O przepraszam, powinnam była powiedzieć. Stawka za tego typu usługi to sto pięćdziesiąt dolarów. Sprawdziłam. Za dzień oczywiście!

To mnie nieco otrzeźwiło. Takie dodatkowe pieniądze parę spraw by mi/nam rozwiązało. Może nawet rozmowa z moim Lou pójdzie łatwiej, jak zacznę od tego?

– Zróbmy tak – powiedziałam jak najspokojniej. – Przyjadę jutro wieczorem i zdecyduję po konsultacji z moją... rodziną. – Sama przestraszyłam się trochę tego, co właśnie powiedziałam. No, ale słowo się rzekło...

– Świetnie. – Melodyjny głos był zadowolony.

Wstawiłam ciasto do piecyka rozgrzanego do trzystu pięćdziesięciu stopni Fahrenheita, nastawiłam czas – pięćdziesiąt pięć minut – i wyszłam z kuchni do dużego pokoju.

– Lou. Chcę z tobą o czymś porozmawiać!

Ciemne, kręcone włosy i okulary w rogowej oprawie oderwały się na chwilę od laptopa.

– Tak, *mon bébé*, teraz? No mów, bo muszę dokończyć to tłumaczenie i przesłać jeszcze wieczorem.

Dom był rozkosznie różowawy, styl wczesnych lat osiemdziesiątych, bardzo zadbany. Przed nim kwitł, oczywiście na różowo, afrykański baobab. Rozległe jednopiętrowe siedlisko z czasów, kiedy ziemi na południu Florydy nie brakowało i budowało się wszcz. Samo osiedle znałam, rozparte przy polu golfowym, jednak oddzielone od niego niskim murkiem, różowawym, a jakże. Villa d'Este, osiedle strzeżone, z mostkami, alejkami, wysepkami pośród sztucznych stawów pełnych białych ibisów i egipskich gęsi. Fontanny, wodospadziki i ogólne uczucie błogiej sytości...

Drzwi otworzyła mi delikatna brunetka o drobnych rysach twarzy. Córka. Victoria Chaunier. Tak się przedstawiła.

W zbyt ciemnym, jak na mój gust, pokoju, na kozetce, siedziała starsza dama, która wstała dość rączo na moje powitanie.

– Mamo, to jest Anna...

– Anna Turcotte.

– A to moja mama, Véronique. Zostawię was same, żebyście mogły sobie porozmawiać.

– Anna – powiedziała starsza pani w zamyśleniu. – Piękne greckie imię. Też mam na imię Anna. Véronique Victoria Anna. Chaunier po mężu, z domu Dusseault. – I zaraz spytała: – Może napijemy się herbaty? Lubi pani herbatę?

– Bardzo.

– Mam tu wszystko co trzeba, zaraz przygotuję. Woda nastawiona.

W końcu to ja zajęłam się herbatą w małej kuchence z oknem od podłogi do sufitu, wychodzącym na *lanai*, patio pod moskitierą, obejmujące też ogromny pokój, w którym siedzieliśmy. Niewielka, urządzone wygodnie, ze smakiem, lśniła chromem i stałą nieużywanych nowiutkich urządzeń.

Na blacie stały dwie błękitne filiżanki. Uszka w kształcie liści akantu, kwiatowy rzucik z niezapominajek. Złocenia brzegów mocno pościerane. Stara porcelana użytkowa, solidna, mieszczańska, ale jednocześnie cienka, elegancka, półprzezroczysta, doskonałej jakości. Ogromnie mi się te błękitne filiżaneczki spodobały. Na spodeczkach leżały doskonale dopasowane stylem srebrne małe łyżeczki z misternie zdobionymi trzonkami.

Miałam wielką ochotę odwrócić spodeczek i spojrzeć na znaki, zobaczyć, skąd są te dwa cudeńka. Lubię starą porcelanę. Nie chciałam jednak tego zrobić przy pani domu, choć – przyznam – bardzo mnie korciło! W każdym razie ta inklinacja do herbaty i sposobu jej picia były dla mnie zagadką. W domach o kulturze francuskiej wszystko służy kawie, a nie herbacie. Herbata kojarzy się z naparem ziołowym podawanym przy bólu żołądka...

– Herbat mamy mnóstwo, u nas praktycznie nie pija się kawy, nie wiem, jaką pani woli. Proszę powiedzieć, może mam.

– Klasyczny Asam albo Ulung, o tej porze. Trochę późno na zieloną.

Starsza pani z aprobatą pokiwała głową. Chyba zyskałam punkt.

Ale czy chciałam zyskiwać punkty? Przecież Véronique zabierze mi moje weekendy! Z drugiej strony jest miła, ciepła, a w pokoju zdążyłam zauważyć ogromną liczbę książek. No i jest przy tym istotna strona finansowa – na etapie, na jakim jestem, nie do pogardzenia. Wypadek. Jak tylko wypowiedziałam to słowo, zablokowałam je mentalnie. Nie myśl o tym!

Piliśmy aromatyczny Asam, a do tego maleńkie *petits fours*, drobne ciasteczka. Te były jak minibabeczki piaskowe. I jeszcze inny rodzaj, z daktylowo-orzechowym nadzieniem.

– *Maamouls* – powiedziałam, powoli przypominając sobie ich nazwę. Doszłam do niej poprzez smak, jadałam je kiedyś pod zupełnie innym niebem.

– Tak – Véronique roześmiała się. – Orientalne ciasteczka, Harriette je robi. Prowadzi nam dom. Oba domy, ten na południu i ten na północy. Jest z Haiti, z Port-au-Prince. Nie mam pojęcia, skąd ma ten przepis, bo na pewno nie ze swoich stron.

– Każdy ma drobne sekreciki – powiedziałam, uśmiechając się do własnego „orientalnego” wspomnienia.

– A nawet wielkie tajemnice – dodała z figlarnym wyrazem oczu Véronique.

Zgodziłam się przyjechać w najbliższą sobotę. Od początku byłam pewna, że zgodzę się na tę pracę...

A filiżanki – podejrzałam, kiedy odnosiłam je do kuchni – były z manufaktury Francisa Gardnera. Na spodzie widniał dwugłowy orzeł w carskiej koronie, pod nim stempel: święty Jerzy walczący ze smokiem. A wokół napis: „Fabryka Gardnera w Moskwie”. Cyrylicy nie znałam, ale znaki fabryczne Gardnera tak. Carska porcelana we florydzkim domu amerykańskich Francuzów. W drodze do domu, za krótkiej, żeby tak na dobre rozpuścić wodze wyobraźni, zaczęłam snuć na razie drobne pajęczynki przypuszczeń... Chciałam poznać losy dwóch błękitnych filiżanek, losy Véronique.

Nareszcie jesień! Od kilku dni mamy tę miękką, jedwabną pogodę z niższymi temperaturami. Po huraganie Matthew ocean łaskawie się na chwilę uspokoił i pozwolił nam popływać. Październik to pora, kiedy nie mamy tu jeszcze najazdu północy, przemęczonej zimą, i na plażę jedzie się spokojnie, w parę minut. Już pojawiają się tablice rejestracyjne z Québecu, ale nie przeważają na parkingach, jak to będzie od stycznia do kwietnia. Zresztą, nie mogę narzekać, myślałam tej jesieni, bo północ zesłała mi Véronique.

Na razie miałam na głowie tyle rzeczy, że zanim dobrnęłam do soboty, to nadawałam się tylko i wyłącznie na jakiś dzień w spa z masażem, przy zapachu kadzidełek. Ale szans na to nie miałam żadnych, jak i na przeczytanie ukochanej sekcji „Sunday Styles” w „New York Times”.

Założenie było takie, że w sobotę przyjeżdżam rano, na śniadanie, przed dziewiątą i zostaję do niedzieli wieczorem. Jedyne, co udało mi się utargować, to że będę wracać w sobotę późnym wieczorem do domu, unikając w ten sposób ponurej miny mojego mężczyzny, który i tak był nie w sosie.

– No jak my będziemy teraz żyli, *mon amour*. Gonitwa w ciągu tygodnia i nawet weekend zaciapany tą twoją Véronique. Zobaczysz, że padniesz, na noszach cię stamtąd wyniosą, rozchorujesz się. Mało ci było Nowego Jorku? Przecież chcieliśmy żyć luźniej, to po to tutaj się przeprowadziliśmy, czyż nie tak, *mon bébé*?

Musiałam spojrzeć jakoś tak, że Lou po tej tyradzie machnął ręką i już bardzo łagodnie, głaszcząc mnie po policzku, dodał:

– Wiesz, że chcę dobrze, *mon amour*, nie chcę cię widzieć bladej z zapadniętymi oczyma.

– Wiem – powiedziałam tylko i przytuliłam się do niego. Oczywiście, że wiem, ale jest to „ale”.

– Nie myśl o tym. – Jasne, wiedział, czego nie dopowiedziałam. – Nie możesz tym żyć, wyznacz sobie jakiś czas, jakieś godziny, kiedy o tym myślisz, i codziennie go zmniejszaj. Słyszysz? Musisz się uspokoić, to nie było od ciebie zależne, niczego nie mogłaś zrobić.

Kiwnęłam tylko głową i otarłam się o jego policzek lekko, jak nasza kotka ociera się rano o nasze twarze, żeby nas obudzić...

Véronique zastałam w doskonałym humorze. Mocno okrągła, wręcz otyła czarna kobieta o karaibskich gibkich ruchach właśnie nakrywała do stołu w *lanai*. Koszyczek pełen *pains au chocolat* zauważyłam od razu, a „New York Times” leżał sobie kusząco obok.

– Harriette, to jest właśnie Anna – zwróciła się do niej Véronique. – Mówiłam ci o niej. Mam nadzieję, że będzie do nas przychodzić w weekendy.

Harriette z daleka pomachała mi ręką i ukazała w szerokim uśmiechu niesłychanie białe zęby.

– *Bienvenue*, Anna! Witamy w naszym domu!

– Bez niej nie istniejemy! – Véro puściła oczko. *Petite coquette!* – Czekałam na ciebie, jestem już nieźle głodna.

Nalała herbatę, zieloną, w zielone, wysokie kamionkowe filiżanki.

– Japońska, mówiłaś, że lubisz. – Zmarszczyła delikatny, lekko przypudrowany nos. – Mówmy sobie ty, proszę!

Zrobiło mi się tak ciepło i sympatycznie, i poczułam chęć na małe co nieco. Usiadłam wygodnie w fotelu, podkurczywszy lewą nogę. Poczułam lekki ból, małe „ouch” wyrwało mi się zupełnie niechcący.

– Coś ci jest? Coś cię boli?

– Och, trochę czuję mięśnie i wiązadła, wiesz rower...

– Pewnie sama jazda na rowerze nic do tego nie ma, więcej ma ustawienie siodełka i rozciąganie po rowerze – powiedziała ze znawstwem Véronique. – Zapomniałaś się porozciągać, hm?

– Tak, mówisz jak Młody, mój młodszy brat – roześmiałam się.

– Czy nie jest tak, że często ignorujemy rady osób bliskich, a akceptujemy je od osób postronnych?

– Zastanawiałam się nad tym nie raz. Może szukamy potwierdzenia, „obiektywnego” potwierdzenia, a osoby bliskie patrzą na nas emocjonalnie.

– A może nie lubimy przyznawać racji osobom bliskim, nasze ego na tym cierpi – Véro pałaszowała bajgiełkę z wędzonym łososiem, serkiem Phila i kaparami. Obserwowałam przedtem, jak kunsztownie sobie tę kanapkę konstruowała, dobierając kawałki cieniutko krojonego wędzonego łososia, zwijając je w rureczki, tak by nie wystawały poza krążek bajgiełki.

– Tylko w „Zabar’s” kroją tak cudownie łososia – powiedziała. – Na Rosz haszana zatrudniają specjalnie dodatkowo emerytowanych pracowników, specjalistów, aby nadażyć... Łososiowe kanapki, *lox and bagels*, to dla mnie Manhattan.

– Wiesz, znam takie miejsce, niedaleko, może to nie „Zabar’s”, ale też mają nie gorszy gatunek łososia. „Long Island Bagels”. Kilka mil stad. Czasem tam przypominamy sobie nowojorskie smaczki. Kiedy mieszkaliśmy w NY, lubiliśmy raz na jakiś czas wpaść na bajgiełki do „Sarge’s Deli” między Trzydziestą Szóstą a Trzydziestą Siódmą przy Trzeciej Alei...

– Kultowe Deli! – Véronique pokiwała aprobowując głową. – Lubię Manhattan. Śledzisz kampanię wyborczą? – spytała ni z gruszki, ni z pietruszki, a może raczej z powodu jakiegoś skojarzenia.

– Nie to, że śledzę, ale, rzecz jasna, interesuję się, przecież będę głosować, to pewne. Uważam to za obowiązek. Ale jeśli czegoś się naprawdę obawiam, to nie ósmego, ale raczej dziewiątego listopada, dnia po... konsekwencji wyboru, jakkolwiek on będzie!

– Uświadomiłam sobie w czasie tej okrutnej kampanii, że nie wiem, kim jestem. Nie rozumiem połowy społeczeństwa, bo połowa myśli kompletnie inaczej niż ja, niezależnie od tego, jak myśli. Czy możemy ignorować połowę społeczeństwa? Na pewno nie.

– Tu nie byłabym pewna odpowiedzi – powiedziałam cicho, jakby do siebie, bo to była jakaś myśl na skróty, ale było w niej coś takiego: jeżeli doszło do sytuacji, w której mamy dwoje nieulubianych kandydatów, to strona, która chce głębszej zmiany, liczy na tych, którzy opowiedzą się za brakiem kontynuacji, powiedzmy tak. A strona „kontynuacji” nie chce przyjąć, że potrzebna jest zmiana, której chce połowa społeczeństwa. Pozornie skomplikowane, a przecież proste. I... nieobliczalne w skutkach.

– Doszliśmy do etapu, kiedy stoimy, jako kraj, na jakimś skraju i każdy ruch jest niebywale istotny, ale i niebezpieczny, nie tylko dla nas. Niemniej odejście od tego, co jest teraz, to, moim zdaniem, konieczność – powiedziała Véronique stanowczo. Zaskoczyła mnie.

– Będziesz głosować na Trumpa? – palnęłam, przerywając dotychczasowe owijanie w bawełnę.

– O, taak! *Absolument!*

– No to ci zazdroszczę, bo ja się miotam, i nie tylko ja, wielu moich znajomych i przyjaciół także.

– Zdecydujesz w ostatniej chwili? – powiedziała z pewnym sarkazmem. Zrozumiałym zresztą.

– No, może w przedostatniej. Głosować będę na pewno, rozważam „niezależnych”. Ale opowiem ci teraz, co jest trochę *à propos* naszej rozmowy, o mojej niedawnej wizycie u dentysty. To będzie dobry przykład. Otóż poszłam do dentysty na coroczny *check up*. Weszłam i zameldowałam się grzecznie. Zaczęły koło mnie fruwać trzy, co najmniej trzy, milutkie motylki: tu podpisz, tam pokaż, wypełnij, karta kredytowa, usiądź i czekaj. Uśmiech, uśmiech, miłe muśnicie ręki, no rozkosznie. Pomyślałam, że pewno jeden motylek by wystarczył, a trzy mocno podrażają moje koszty obecności u pana dentysty, ale nie o to mi teraz chodzi.

– Ale to bardzo rozsądna uwaga, te wszystkie recepcjonistki, asystentki, itepe... – Véro zabrała się za kawałek drożdżowego ciasta, którego wcześniej na zbyt gęsto zastawionym stole nie zauważyłam. Pewno domowe, zapach przypomniał mi dom rodziców. Rozmarzyłam się... Ale tylko na moment.

– No i wreszcie dobrnęłam na fotel – podjęłam temat – i higienistka zajęła się moimi zębami. W trakcie tego procesu opowiadała mi o sobie i rodzinie, a potem zaczęła zadawać pytania, na które rzecz jasna mogłam odpowiedzieć tylko: eeehe, oooja...

Véronique zaczęła się śmiać, bo swoją opowieść ubierałam w gesty i pokazywałam jej, jak to usiłuję coś „odpowiedzieć” rękami.

– Przemęczyłam się nieco, użyłam wszystkich samogłosek, aż nagle Mary pyta mnie: „Wiesz, na kogo będziesz głosować?” A ja oczywiście odpowiedzieć nie mogę, ale kiwam głową. Ona na to zatrzymuje całą aparaturę, którą uruchomiła w celu zdjęcia kamienia z moich zębów, i pyta, teraz wzrokiem. Nie mam już wyjścia, muszę odrzucić w kącie *political correctness* i powiedzieć coś konkretnego, więc strzelam: „Chyba zmiana byłaby dobrą rzeczą”. Mary nagle jakby zaczęła lewitować, policzki jej różowieją, oczy płoną: „Ja też myślę, że trzeba na NIEGO głosować, ale – tu zniża głos do całkowitego szeptu – wiesz, nie wolno nam tu o tym z pacjentami rozmawiać, mieliśmy takie szkolenie, żeby tylko tego tematu nie poruszać, a nawet jeśli pacjent zacznie, nie odpowiadać jednoznacznie i zmienić temat, na przykład na pogodę tu na południu Florydy. Byle nie zahaczać o zmiany klimatyczne, rozumiesz, jeszcze jeden sporny temat. Ale tobie tak dobrze z oczu patrzy, dlatego zapytałam”.

Pomyślałam: to ci historia. Nie mówić, nie pytać. Zamknąć oczy, usta i zatkać uszy. Można o kwiatkach i o pogodzie, nie o wyborach. A Mary mówi, dalej szeptem: „A w ogóle to ja tu jestem wśród tych, co będą głosować na Hillary, więc sama rozumiesz, absolutnie nie mogę się odezwać, chcę zachować pracę!”

Na to wszystko zjawia się mój doktorek, osobiście, super wybielone ząbki, włoski krótkie, mocno podżelowane, jakiś nawet w tym żelu różowopurpurowy kolorek – moje skojarzenie było z truskawkową marmoladą, ale może po prostu byłam głodna.

Véronique śmiała się już na całego:

– Masz dar opowiadania! Doskonale to wszystko sobie wyobrażam, zwłaszcza te konfitury!

– Marmoladę, żeby konfitury! – kontynuuję. – No więc doktorek wpada, cały przystojny, szeroki uśmiech, i dogląda osobiście, czy wszystko w porządku. W końcu mówi: „Cudooooownie, na razie masz spokój” i odfruva do następnego pacjenta, pewno w nadziei znalezienia paru ubytków, ale odwraca się w wejściu i strzela: „Przydałoby ci się wybielanie, bardzo byś na tym zyskała. Tylko czterysta dolarów. Ogromnie użyteczna inwestycja”. Błysk równiutek, supersztucznych i osłepiających niemożliwą w naturze białą zębów, i już go nie ma. Zarabia w następnym pokoju. I na pewno ten sam tekst wrzuci na koniec następnemu pacjentowi.

– Chyba że następny pacjent już wybielony – prawie krztusząc się, wydusiła Véro. – No i wybielanie to lepszy temat niż głosowanie, ha, ha, ha!

– No, ale w każdym razie rozmowa z Mary niezwykle mnie podedukowała, nie miałam pojęcia, że takie są dyrektywy. Wyobrażasz sobie! Najistotniejsza teraz sprawa – i masz o niej nie rozmawiać!

– Ale spójrz naokoło – Véronique zrobiła gest ręką – przecież nie możesz nigdzie i z nikim „o tym” rozmawiać bez chowania się za jakieś ogólniki, bez dreptania wokół tematu, byle nie trafić w sedno. To jest jedna ze stron *political correctness*. Według mnie to jest dla demokracji zabójcze. Musisz móc się wypowiadać bezpośrednio. Zamiast tematu głównego, mamy zastępcze: aborcja i małżeństwo gejów i lesbijek. No i ubikacje dla transgenderowców. Tematy super: kanalizują ogromną energię i emocje, podejmują słuszne zarzuty i pretensje, ale przecież nie o to chodzi.

Véronique zaczęła mi się podobać. Oto osiemdziesięcioośmiolatka, pani, która, jak wiele z jej kręgu, nie musi interesować się tym, co będzie po wyborach – da sobie radę w każdym przypadku, nic nie zachwieje jej solidnie podbudowanej finansowo egzystencji, a jednak chce być „in”, nie ma ochoty rezygnować z bycia aktywną. *A propos* aktywności, to wieczorem, kiedy uciął wiatr, a temperatura wróciła do komfortowych dwudziestu pięciu stopni, przegoniła mnie po uliczkach osiedla, idąc dziarskim, silnym krokiem.

– Zazdroszczę ci roweru – odezwała się w czasie spaceru – ja już nie mogę, miałam problem z biodrem, nerw kulszowy i parę powikłań. – Machnęła ręką, jakby zrobiło jej się jakoś nieswojo, że weszła w ten temat. – Ubóstwiałam rower, zwłaszcza tu, na południu. Całą zimę można jeździć, byleby wiatr nie był za silny.

– O tak. Lubię to dotlenienie, wiesz, najlepsze pomysły przychodzą mi wtedy do głowy.

Kiwnęła głową. A ja nie chciałam rozprawiać szerzej o urokach „rowerowania”, bo mi się jej jakoś zrobiło żal.

Niedziela nie przyniosła mi czasu na lekturę „Sunday Styles”, ale wieczorem, gdy wróciłam do domu, leżał na kawowym stoliku w salonie: odłożony dla mnie przez Lou, który już spał. Obok filiżanka, moja ulubiona, i czajniczek otulony ciepłym pikowanym płaszczykiem, żeby zachował ciepło. Rozczuliłam się!

Usiadłam i zaczęłam czytać, popijając małymi łydkami herbatę. Przecież Obama wygrał w 2008, bo uosabiał zmianę, tę zmianę, o której mówi się teraz w kontekście Trumpa. Obama nie był tak „zużyty” politycznie jak Hillary, nie był aż tak zakorzeniony w systemie, wzbudzał nadzieje, doskonale się sprawdzał w debatach, miał swój ciepły styl. Mówił lekko, inteligentnie, ale przystępnie. Użył też *social media* w swojej kampanii, i to była ta wielka różnica. Hillary, nieco sztuczna, szalenie *correct* w swoim zachowaniu, wspaniała wytwór systemu, jest w rezultacie mało ludzka. Jej sposób bycia nie przemawia, nie przekonuje, nie przyciąga. Wizerunek jest ważniejszy od programu? Może. Tak sobie mój senny mózg gaworzył, kiedy przeglądałam śmieszne artykułiki o tym, co i jak, i kto, i z kim. Byłam spokojna i zadowolona. Nie tylko z czeku...

Rano zadzwonił adwokat. To była krótka, wstępna rozmowa. Mieliśmy się umówić na spotkanie, by ustalić „strategię”.

Jałłam lunch z Georges-Marie, zwanym GM, moim kolegą i dobrym znajomym z byłej pracy, który przyjechał na trochę z Genewy. Poszliśmy sobie do paneterii, miejsca teoretycznie francuskiego, ale prowadzonego przez siły lokalne. GM je bardzo lekko, ja na ogół też, ale jakoś tego dnia miałam ochotę na bagietkę z brie i figami, na „coś konkretniejszego”, jak by powiedziała moja siostra Margot. Znajomy patrzył na mnie z pewnym niedowierzaniem, wręcz z powstrzymywanym przez dobre wychowanie przerażeniem.

– Chyba nie zjesz wszystkiego?

– Chyba zjem – odpowiedziałam zdecydowanie, wgrzyzając się w niebywale chrupiącą skórkę. Na pewno nie zabiorę do domu, pomyślałam, czując już pod zębami delikatny miąższ bagietki, ciepły, rozplwający się brie i mało słodkie, pokrojone na cienkie plasterki świeże figi. Miło byłoby mieć do

tego garstkę młodego szpinaku i kilka podprażonych migdałów lub orzechów włoskich. Tak ja bym to podała, ale „Panéterie” miała inny, dużo prostszy sposób na zarobienie czternastu dolarów, plus herbata, plus napiwek.

Herbata była co prawda firmy „Mighty Leaf”, ale nie miała w sobie ani krzty „potęgi”, raczej mizerne popłuczyny dobrego naparu. Woda letnia, czajniczka nikt tu na oczy nie widział, więc była to po prostu skarpetka wrzucona do ciepłej wody. Mogłam się tego spodziewać.

– Nie wiem, czemu przywiązujesz taką wagę do herbaty – powiedział GM, pijąc podwójne espresso.

– Przypominam ci, że jestem tylko pół-Francuzką. Druga połowa jest na wskroś polska i ubóstwia herbatę! Dobrze zaparzoną, mocną, aromatyczną, jaką pija się w mojej rodzinie. Tak się przyzwyczaiłam, to taki obrządek, rytuał, czyż nie żyjemy przyzwyczajeniami?

GM wzruszył lekko ramionami, wyciągając do przodu szyję, jakby chciał powiedzieć: „No, jeśli tak uważasz”, ale widziałam i czułam, że myśli o czymś innym i bardzo chce, żebym go spytała o czym.

– Nie masz pojęcia, co się dzieje we Francji – zaczął sam, nie musiałam ja, dobrze!

– Mam jakies, oglądam wieczorem dziennik TV5, czytam, śledzę...

– Ale nie znasz detali, nawet nie widzisz szerszego obrazu. Nie obraź się. – Uczynił gest ręką, jakby chciał ją położyć na mojej. – Wiem, że się interesujesz, ale ten syf u nas jest po prostu nie do ogarnięcia.

– A myślisz, że tu jest idealnie? Na moment przed wyborami dzieją się takie cuda, że europejskie problemy wydają się pestką. Przecież od prezydenta tego kraju zależy...

– Wiem – GM przerwał mi stanowczo – ale...

– Posłuchaj, tylko mi nie przerywaj. Francja nie jest już od dawna ani ekonomicznym, ani kulturalnym centrum świata. Może jest w tym coś w rodzaju kompleksu byłego mocarstwa. Przypomina to historię upadku Aten i panowania Rzymian.

– No nie! Teraz chyba przesadzasz!

– Ale tylko pomyśl: Ateńczycy nie mogli zrozumieć, że ulegli Sparcie, a potem Rzymowi. Nie mieściło im się w ich dość aroganckich głowach, że się już nie liczą ani z nimi nikt się już tak nie liczy, jak za „złoty czasów”. Osłabienie ekonomiczne, roszczeniowe postawy społeczne...

– No nie! Proszę cię! Czy to bardziej nie pasuje do Stanów?

– Na pewno, choć inaczej, ale zaczęliśmy o Francji. Więc spróbuj być choć trochę obiektywny, pomyśl, czego w tym momencie bronisz? Ile razy leciałam do Paryża Air France, bo już teraz tego nie robię, nigdy więcej Air France! A więc tyle razy był albo strajk personelu naziemnego, albo obsługi paszportowej, albo jeszcze co innego. Kompletna arogancja, nieliczenie się z pasażerami. Aspołeczne postępowanie. A spójrz na to, co stało się w Nicei. Nie powiesz mi, że ten zamach nie był do uniknięcia! Ciężarówka swobodnie przedostaje się przez pas ochrony i wjeżdża w tłum. Podstawowe cnoty Republiki: *liberté, fraternité, egalité* gdzieś się zapodziały. Francuzi się obrazili. Na świat i w rezultacie na siebie.

GM uśmiechnął się. Pogmerał w sałatce, przechylił głowę.

– Nie mogę się z tobą zgodzić, ale i nie mogę się z tobą całkowicie nie zgodzić. Jest to kryzys tożsamości, z pewnością. Jest to jakieś nasze wzruszenie ramion, takie typowo francuskie. „Co nas to wszystko obchodzi”... A przecież lubiliśmy i poklepywaliśmy po plecach. Spójrz na całkowitą hegemonię Niemiec w Unii, przecież to nie byłoby możliwe, gdybyśmy choć trochę się otrząsnęli.

– A te wywiady dziennikarzy z prezydentem dla „Le Monde”? – Wpadłam w jakiś rodzaj kaznodziejstwa, ale nie umiałam się powstrzymać w moim „słusznym” oburzeniu. – Hollande wie, że nie zostanie na następną kadencję. OK, ale musi wobec tego publicznie obrażać? Czytałeś to?

– Tak. Sarkozy to „zwykły mini de Gaulle” i „zajaczek Duracell”, partia zielonych, o ile pamiętam, coś w rodzaju „upierdliwi cynicy”, i tak dalej.

– Dostało się też byłej partnerce, Valérie Trierweiler, którą nazwał „kłamczuchą”. No, w każdym razie urzędujący prezydent nieźle sobie ulżył, ale jednocześnie popełnił polityczne samobójstwo! Powiedz mi, gdzie logika w tym postępowaniu?

– To wszystko rezultat wielkich zmian społecznych, nieprzygotowania na te zmiany... ale...

– Chciałeś porozmawiać o czymś innym, hm? – wpadłam mu w słowo. Znałam mojego znajomego dość dobrze, wiedziałam od początku, że coś mu leży na sercu i że nie jest to z pewnością obecna sytuacja Francji.

– Tak, mam problem. Laraine. Zrobiłem coś idiotycznego.

– Znowu? Gdzie ty masz rozum, nie nauczysz się nigdy! Znowu?

– Wiesz, że jestem do niej kolosalnie przywiązany. Zawsze do niej wracam.

Pokręciłam lekko głową, uniosłam oczy do góry w niedowierzaniu.

– Widzisz, to jest właśnie dla mnie takie cholernie francuskie. Nie rozumiem tego i nie umiem sobie wytłumaczyć. „Zawsze do niej wracam”. A co, gdyby to ona miała kochanków?

– Nie, Laraine by tego nie zrobiła!

– No właśnie. Pomyśl, co powiedziałaś: tobie wolno, jej nie?

– O nie, gorzej, według mnie i jej wolno, ale ona jest inna, lepsza, ona by tego nie zrobiła. Ma takie podejście. Taka jest.

– I dlatego ją łatwiej zdradzać, a potem „wracać” do niej? Czy Laraine tym razem wie?

– Tym razem jest gorzej. Mnie zależy na tej drugiej kobiecie. Nie wiem co robić. Chcę tutaj to wszystko przemyśleć.

– Jesteście w Fort Myers, u rodziny Laraine, jak zawsze?

– Tak. Słuchaj, chcę, żebyś mi w tym pomogła. Proszę cię o to jak... jak ktoś, kto był ci chyba kiedyś dość bliski...

– No cudownie. Mały szantażyk? Nie wiem, czy chcę być w to wciągnięta. Muszę zresztą wracać, mam jeszcze popołudniowe zajęcia. Umówimy się, dobrze? I pozdrów Laraine. Jeśli oczywiście w ogóle jej powiesz o naszym lunczyku.

To było trochę zbyt sarkastyczne i niepotrzebnie poniżej pasa, ale lubiłam Laraine: urocza Amerykanka włoskiego pochodzenia. Dla obojga nie był to pierwszy długoletni związek. GM miał z pierwszego małżeństwa dorosłego już syna, Laraine spore długi, bo jej były lubił żyć luksusowo, za jej pieniądze. Przez wiele lat Georges-Marie i Laraine mieszkali na Manhattanie. Przenieśli się do Genewy kilka lat temu, wraz z jego pracą. Przedtem się jednak oficjalnie „zarejestrowali”, co, wielce romantycznie, ujął mój znajomy w taki sposób: „Będzie się tam lepiej i pewniej czuła jako moja żona”. Może i tak by było, gdyby GM umiał zrezygnować ze swojej pasji do innych kobiet. Ale najwyraźniej nałóg był silniejszy niż matrymonialne zobowiązania.

Jadąc do domu, myślałam o porannym telefonie. I znowu nie mogłam spać.

Pamiętam uderzenie. Niezbyt silne, w tylny lewy zderzak i jeszcze jedno głuche puknięcie, nawet nie uderzenie. Nie miałam pojęcia, co się stało, zapytałam Lou, który siedział obok: „Co to?”, „Motocyklista – odpowiedział Lou bardzo cicho. – Zjedź zaraz na prawo”. Teraz zobaczyłam w prawym bocznym lusterku mężczyznę na plecach, z poderwanymi do góry ramionami, nogami i głową. Wyglądał jak wielki, odwrócony żółw. Motocykl jeszcze przez chwilę przesuwiał się ślizgiem na boku i w końcu zamarł. Lou wyskoczył z samochodu i popędził w kierunku motocyklisty, któremu już ktoś pomagał wstać i przeprowadzał do stojącego po drugiej stronie jezdni samochodu. Lou chwilę rozmawiał z mężczyzną, odwrócił się i dał mi znać ręką, że wszystko wygląda OK. Syrena policji i karetki pogotowia zmieszały się w jeden ogłuszający ryk...

Wstałam, napiłam się wody i spojrzałam przez okno w kuchni. Moje niecierpki w świetle ledwo wschodzącego słońca nabierały pomarańczowego koloru. Lubiłam tę grę światła, jedyną w swoim rodzaju na południu. O moje nogi zaczęła się ocierać kotka, która powolutku przywędrowała za mną z sypialni. Zadarła piękny kształtny łepok i zmrużyła ślepią. Wiedziałam, że mruczy. Zawołałam ją po imieniu, cicho, żeby nie obudzić Lou. Odpowiedziała życzliwym „mru” i przewróciła się na grzbiet: „Drap mnie po brzuszku”, mówiła do mnie w swoim języku. Uspokajałam się powolutku, głaszcząc jedwabistą sierść, patrzyłam na świt, rozpościerający się nad moim mieszkaniem, nad moją uliczką, nad moim światem. „Wszystko będzie dobrze, wszystko musi być dobrze”, powtarzałam sobie swoją mantrę. Ninusia mruczała. Różowił się świt.

Kiedy zjechaliśmy tu z Nowego Jorku, codziennie przeżywałam na nowo tę rajska przyrodę, uśmiechałam się do pióropuszków palm falujących na wietrze, mrużyłam oczy przed słońcem przesianym przez białe, podbite lekką szarością chmury, przemawiałam do wiecznie kwitnących drzew, krzewów. Powoli uczyłam się południa, które znałam tylko z krótkich, przelotnych wakacji, kiedy najważniejsze było chodzić po plaży i pływać w oceanie. Zbieranie muszelek było zajęciem obowiązkowym, jak kupowanie idiotycznych T-shirtów na prezenty. Teraz, kiedy chodziliśmy po plaży, głównie późnym popołudniem lub wieczorem, rozpoznawaliśmy natychmiast tych, co właśnie przyjechali po troszkę słońca. „My też się tak zachowywaliśmy”, mówiliśmy do siebie na ich widok. Z zachwytem w oczach patrzyliśmy na wydmy, na wodę, wystawialiśmy się na słońce, żeby nasycić się nim przed powrotem w chłód północy. A teraz należymy do tego raj, mamy jego cząstkę dla siebie i jesteśmy jego częścią. To jest nasz dom.

Wytrącił mnie z nastroju telefon. Dzwonił Młody. Tak sobie, jak to on, żeby pogadać. Wrócił mi humorek!

Jest nas czworo: Brat, zwany Wielkim albo w skrócie WB, Margot, ja i Młody. Wychowywaliśmy się zawsze razem, uczyliśmy się zawsze oddzielnie, śmialiśmy się do rozpuku pod byle pretekstem i staliśmy za sobą murem. Wielki Brat, Stach, jest najstarszy z nas. Był pierwszy i miał najciężej. Zawsze mówił: „Żadne z was nie ma pojęcia, jak to jest być pierworodnym!” Mama na nim się „uczyła” bycia mamą. Margot przyszła w kilka lat po WB, nie tak długo, by mama zapomniała o urokach wczesnego macierzyństwa, ale i nie tak krótko, żeby nie miała czasu trochę zapomnieć. No i dziewczynka, więc inne podejście. To ci wolno, tego nie. Dlaczego? Bo jesteś dziewczynką. A on? On jest chłopcem, on może.

Ja miałam najłatwiej, bo naszej mamy już nic nie mogło zaskoczyć, i kiedy wchodziłam na drzewo albo chodziłam w tych samych szortach całe lato, niezależnie od pogody, wzdychała albo machała ręką. Miałam dobrze. Młody miał niby najlepiej, a jednak nie. Był beniaminkiem rodziny, był nieoczekiwaną niespodzianką, delikatny, wrażliwy, mama się nad nim trzęsała. Późne dziecko. Nade mną nikt się nie miał czasu trząść, więc musiałam sobie dawać radę i nawet nie wiedziałam, że muszę, po prostu byłam takim sobieradkiem.

Margot jest moją ukochaną siostrą i czuję się z nią związana nicią niewidzialną, a mocniejszą od dratwy, ale sztamę trzymam z Młodym. A on ze mną. *Pals*. Jesteśmy bliźniutko, a że rozdziela nas od wielu lat kontynent i ocean, to Viber i Skype są stale w robocie.

Wielki Brat był zawsze niedoścignionym ideałem, stawianym - chcący czy niechcący - ciągle, boleśnie i nużąco za przykład. Doskonałe wyniki w szkole, potem na studiach, świetlana przyszłość: korporacja, dobre pieniądze, żona i dwie córki.

Margot poważna, no, powiedzmy, poważniejsza ode mnie, ale znacznie mniej poważna od Brata. Solidna, szczerza i uczciwa do bólu. Czasem z Młodym myślimy, złośliwcy, że to brak wyobraźni, ale to już nasz chichotliwy humorek. Kochamy ją, rzecz jasna, bardzo, choć nas często wkurza.

Młody jest młody: odpowiedzialny tak nie za bardzo, unosi się gdzieś nad rzeczywistością, cholernie inteligentny, ujmujący, i, co tu dużo mówić, przystojny, błyska tymi swoimi miodowymi oczyma, opowiada, nawija i dziewczyny, owszem, lubią go.

Pojechałam na zajęcia i dalej rozmyślałam o tym moim rodzeństwie, bo ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czemu nigdy nie przyszło mi do głowy mieć dziecko. Wręcz odpychałam to od siebie. Przecież ta nasza czwórka, ten nasz kwartecik, to jedna z ważniejszych i najcudowniejszych rzeczy w moim życiu. No, ale widziałam nieraz umordowaną mamę, jak miała nas już tak naprawdę po dziurki w nosie. Na ogół wkraczała wtedy, w taki czy inny sposób, Babcia Warszawska, i mamcia się wyciszała. Babcia przejmowała nas pod swoje skrzydła, a były to skrzydła kochające, ale surowe. Żadnych ulg, żadnych drobnych kłamstewek: nic nie uszło babci uwagi, była sprawiedliwa, nie robiła różnicy między mną i Margot a naszymi braćmi, nie było taryfy ulgowej dla Młodego. Babcia miała bowiem żelazne zasady.

No właśnie: zasady. Zaczęłam snuć jedną ze swoich myślowych pajęczyn albo, inaczej mówiąc, szydełkować boczkiem kolejny wzorek. Myśl przesunęła się od babci do kampanii

prezydenckiej. Może jakaś zbitka skojarzeń, bo jadąc małymi uliczkami, zobaczyłam faceta wbijającego w trawnik przed domem (mam nadzieję swoim!), panel: *TRUMP PENCE*.

Alex, ktoś dużo starszy ode mnie, kogo widywałam czasem na jego wykładach o rosyjskiej poezji i literaturze, następująco skwitował całą kampanię wyborczą w szerszym gronie studentów i profesorów:

– To pretorianie, pretorianie obierają sobie w ten sposób nowego cesarza. Kaligulę. – Zastanowił się, wokół niego zrobiło się ciasniej, cichutko, i dodał: – A właściwie nawet nie Kaligulę, tylko konia, chcą konia Kaliguli uczynić cesarzem.

– Kaligula chciał nadać Incitatusowi, swojemu ukochanemu wierzchowcowi, tytuł konsula... – wtrącił się ze znanstwem jakiś przemądrzalec. Dosłownie miał rację, ale nie o to przecież Alexowi chodziło!

– No właśnie, a w tym przypadku niepotrzebny nawet będzie Kaligula. Skrót. Koń załatwi sprawę.

– Ogromnie ponury scenariusz. Niemożliwy w naszej demokracji. Nieprawdopodobny. Coś z teorii spiskowej – usłyszałam koło siebie.

– Absurd, to ten facet z Europy wschodniej, oni mają takie obsesyjne myślenie, wręcz dystopijne – dodał ktoś jeszcze.

Może jednak zamykamy oczy i uszy i staramy się nie mówić, ba, nawet nie myśleć w ten „ponury” sposób. Po co? Cieszymy się tym, co nie jest „ponure”. Gorzej, jak rzeczywistość przejdzie w ten „absurd”, pomyślałam. W dystopię, w królujący w tej chwili we Francji deklinizm.

Dojechałam na campus i musiałam wrócić do rzeczywistości, co zrobiłam raczej niechętnie, bo dobrze mi się ta pajęczynka snuła.

Véronique najwyraźniej już na mnie czekała, choć przyjechałam kilka minut przed dziewiątą. Miała w ręku NYT, na kolanach leżała książka. Druga obok. Talerzyk z nadgryzioną bajgiełką stał na małym marokańskim stoliczku przy fotelu, w którym lubiła przesiadywać. Nazywała go „białym fotelikiem”, bo w tym wielkim pokoju było kilka siedzisk i wszystkie miały swoje nazwy, nawet imiona. Mały fotelik był pokryty surowym jedwabiem w kolorze kości słoniowej. Zawsze się zastanawiałam, jakim cudem ten przedmiot, który z powodu upodobania, jakie miała do niego jego właścicielka, był niezwykle często używany, a nawet nadużywany, utrzymuje tak nieskazitelną czystość.

Kiedy weszłam, natychmiast odłożyła gazetę, książki i jakieś notatki, które leżały na jej kolanach. Nie wiem, jak się to tam wszystko mieściło.

– No niechże się tobą nacieszę, zanim mi znowu na tydzień gdzieś przepadniesz – powiedziała ciepłym głosem, uśmiechając się filuternie. Miała taki swój własny styl. *Petite coquette!*

– Przyniosłam ci mój dyniowy chlebek. Staram się nie piec więcej niż jedną formę, żebyśmy za dużo tego nie wcinali, ale wczoraj upiekłam dwie. Lou od razu powiedział: „Ten drugi jest dla Véronique, prawda?”

– Znaczy, że zaistniałam w waszym życiu. – Starsza pani powiedziała to z pewnym zadowoleniem. – Koniecznie chcę spróbować tego twojego ciasta! – A widząc, że zerknęłam na odłożoną książkę, dodała między jednym kęsem a drugim: – Czytam po raz kolejny *Wojnę Peloponeską* Tukidydesa... Mmmmm... Dobrutkie to twoje ciasto, syrop klonowy, cynamon, ale też... – posmakowała – kakao.

Kiwnęłam głową.

– Powrót do starożytnej Grecji? Mówiłaś, że fascynują cię początki naszej, zachodniej, cywilizacji...

– Tak, wróciłam do niego z powodu wyborów, ale nie tylko. Ostatnim razem czytałam Tukidydesa „z okazji” naszej interwencji w Iraku, za młodszego Busha. Znalazłam wtedy, nie tylko ja zresztą, analizowali te sprawy również superfachowcy, paralele, przerażające paralele między wojną prowadzoną przez Ateny przeciw Sparcie a naszym najazdem na Irak.

– Zawsze w wojnach chodzi o coś innego niż przyczyny podawane oficjalnie.

– Dokładnie! Interesy, ambicje. Strach! To są prawdziwe przyczyny. Wiemy, jak skończyła się ta pierwsza, starożytna wojna: upadkiem zarozumiałych aż do arogancji Aten! Ateny i ich sojusznicy *versus* Sparta i jej sojusznicy. Ale myślę, że najciekawszy dla naszej obecnej sytuacji jest dialog melijski.

Wzięła kolejny kawałek chlebka i mówiła dalej:

– Ateny, potęga w swoim świecie, usiłują zmusić wyspę Melos do uległości. Zostawmy szczegóły, można to wszystko znaleźć w Google’u. Nie trzeba nawet czytać Tukidydesa. Choć to ogromna przyjemność. Rozpoczyna się wojna hegemoniczna. Ateny w sposób charakterystyczny dla wielkiego mocarstwa posunęły się do czegoś, co nazwalibyśmy w naszym współczesnym świecie szczytem politycznej bezczelności. Obeszły wszystkie zasady, normy, nie słuchały głosu zdrowego rozsądku. Jak Stany w konflikcie irackim, kiedy wzruszyły ramionami nie tylko na nasze zobowiązania międzynarodowe, na normy prawa międzynarodowego, ale – i może przede wszystkim – pokazały swoim najbliższym sojusznikom, że jak trzeba, to zrobią, co chcą i nic ich nie powstrzyma! Bardzo niebezpieczny sposób myślenia. Zrobiły dokładnie to samo, co w czwartym wieku przed naszą erą Ateńczycy z wyspą Melos. Za dobrze dla Aten to się nie skończyło...

– Wiesz, rozmawiałam właśnie z moim dobrym znajomym, Francuzem, na temat sytuacji w moim kraju.

– W jednym z trzech twoich krajów – roześmiała się Véro.

– No tak, w tym wypadku chodziło mi o Francję i to, co się tam teraz dzieje. Też dałam przykład Aten, które nie umiały się pogodzić z utratą swoich wpływów. Nie wyciągamy wniosków z historii?

– Na tym polega właśnie poczucie wyższości, arogancja, zbytnia pewność siebie. Wiesz, że kiedy Rumsfeld przejął Pentagon, zamówił naukowe studium, jak starożytne mocarstwa utrzymywały hegemonię?

– No, to mogłoby też oznaczać wyciąganie wniosków z upadku innych.

– Ale nie oznaczało, skoro dzieje się to, co się dzieje, nie uważasz?

– Ja chcę pozostać optymistką, ale przyznaję, że masz rację. Wolałabym patrzeć na Ateny jako skarbnicę kultury, a nie jak na prekursora politycznej buty i mocarstwowego wymuszania. Już nie mówię, że to wszystko pasuje nie tylko do ostatniej wojny irackiej...

– Ale i do zagarnięcia Krymu przez Rosję – roześmiała się Véronique. – Czy nie to chciałaś powiedzieć?

– Bardzo prosta analogia. – Sięgnęłam po krakersa z jakąś bardzo finezyjną pastą. Bakłażan, bazylią, coś jeszcze.

– Smakują ci? Kawior z bakłażana. No i *herbes provençales*.

– Harriette oczywiście? – powiedziałam, sięgając po następnego.

– Harriette, która się strasznie przejęła, że jesteś „prawie” wegetarianką! „Ona pewno niczego nie je, jak ty. Trzeba to dziecko trochę...” I tu zrobiła taki zaokrąglający gest rękami – ciągnęła Véronique. – A do tego jeszcze powiedziała mi tak: „Mężatka, dorosła kobieta powinna być w sobie!”

– Eee tam, dużo mi brakuje do prawdziwego wegetarianizmu. Po prostu nie przepadam za mięsem. A mężatką nie jestem.

– Za mięso uważasz pewno pierś kurczaka lub indyka i ryby, czyż nie? – Véronique przemilczała drugą część mojego zdania.

– No coś w tym rodzaju. Najbardziej lubię ryby. Ale słuchaj, myślałam sobie, jak przetłumaczyć *amuse bouche*, bo tak powinnyśmy nazwać w naszym języku te przepyszne krakersiki z bakłażanem.

– Ja to nazywam *amuse gueule*.

– Wiem, używasz słowa *gueule* – gęba, pysk zamiast *bouche* – usta.

Véronique kiwnęła głową.

– Dosłownie trzeba by użyć czegoś opisowego jak: „zabawka dla ust”, prawda? Chodzi o przekąskę, *snack*, ale może o coś bardziej wyrafinowanego. Amerykanie też używają *amuse bouche*, a nie słowa *snack* na określenie drobnych przekąsek. „Coś dla pyska”!

Lubiłam to w rozmowach z Véronique. Te przejścia. Tę lekkość przesuwania się z tematu poważniejszego na lżejszy i jeszcze lżejszy, a potem powrót do czegoś poważniejszego, i tak *ab ovo*. Bawiła się rozmową, umiała ją prowadzić, wiedziała, kiedy interlokutor nie łapie już głębi jej myśli, może się znudził albo może zmęczył, więc trzeba zmienić temat. Umiała prześlizgiwać się wdzięcznie nad słownymi rafami, nad tematycznymi przepaściami. Cudowna, kunsztowna, staromodna kultura

prowadzenia konwersacji w taki sposób, żeby rozmówca czuł się dobrze, intelektualnie wygodnie, jakby zasiadał w jednym z jej foteli...

– Wiesz, ja jestem z pokolenia, które uczyło się łaciny, przez lata! Mój mąż miał w liceum też starożytną grekę – wróciła do poprzedniego tematu. – To ogromnie dużo daje, szkoda mi teraźniejszej młodzieży, choć jasne, że wiele się zmieniło, na nic nie ma czasu, ale czytanie Cyceronu czy Herodota to wnikanie w początki naszej, europejskiej...

– „zachodniej” cywilizacji, ale i amerykańskiej myśli politycznej, struktury władzy. Uczyłam się łaciny, mama mnie namówiła, twierdziła, że jej tego ogromnie brakowało. Za jej czasów łacina nie była już obowiązkowa w szkole średniej.

– Masz młodą mamę... i mądrą. Cieszę się, że cię poznałam – powiedziała ni stąd, ni z owąd.

– Ja też.

Jadąc do domu późnym, późnym wieczorem, a właściwie nocą, myślałam o tej znajomości, o tym, jak Véronique wsunęła się w moje życie, jak wniknęła w nie bezszelestnie, delikatnie, ale głęboko...

W domu czekała na mnie świeżo zaparzona herbata i śpiący Lou. Tylko kotka zeskoczyła z łóżka i przywitała się ze mną na swój miękki, aksamitny sposób. Podobna jest w tym do Véronique. Niby niczego nie chce i nie oczekuje, ale zwraca na siebie uwagę tym swoim na pozór tylko nieabsorbującym sposobem bycia.

Dopiero kiedy miałam się już kłaść, zauważyłam wiadomość na Viberze od Margot. „Odezwij się, jak będziesz mogła, Siostrzyczko. Nic pilnego ☺ , ale chcę pogadać”. „Ale” w języku Margot znaczyło „musisz zadzwonić”. Wystukując odpowiedź, spojrzałam na godzinę. Po północy. To oznacza po szóstej rano tam, w Brukseli. Siostrzyczka już krząta się w domu i jest, jak zawsze, „w niedoczasie”. Miałam rację. Moja wiadomość została natychmiast odebrana: „Seen” widniało pod spodem. I zaraz potem telefon. Odebrałam najszybciej jak mogłam, żeby nie obudzić Lou.

– Cześć, siostrzyczko! – powiedziałam cicho, idąc do kuchni.

– Cześć, kochana! Co u was?

– Hej, wszystko OK, raczej powiedz od razu, o co chodzi.

– Słuchaj, no wiesz, rozmawiałam z mamą. Była jakaś taka za bardzo spokojna, że niby nic, dziesiątki pytań o nas, dzieci, czy jesteśmy obie w kontakcie, takie...

– Margot!

– No właśnie, więc w końcu mówię: „Mamo, coś chcesz mi powiedzieć, prawda? Jesteście oboje zdrowi?” Na to mama: „Wiesz, ojciec był u lekarza, rutyna... No nie, od jakiegoś czasu narzekał, takie objawy, wiesz u wielu mężczyzn w ojca wieku...”

– Prostata? Łagodny rozrost? Nie, to byś nie dzwoniła tak nagle. Rak? Początek?

– Nie sam początek, drugie stadium. Przy dzisiejszym leczeniu praktycznie nie mamy się czego obawiać. Uruchomię od razu znajomości. Będzie OK, nie przejmuj się, ale oczywiście byłoby dobrze się nimi teraz bardziej zająć. Może byś tam pojechała?

– Do Warszawy? Z Florydy? Margot, ty jesteś w Brukseli! O żabi skok!

– Ja będę wpadać, ale wiesz, jak mama lubi, kiedy przyjeżdżasz, a ojciec od razu poczuje się lepiej, jak zaczniesz koło nich dreptać. Ja nie umiem tego robić tak jak ty. Ciepłko rozsiewasz, siostrzyczko. Poza tym u mnie dzieci, wariactwo dnia, praca. Ale będę wpadać częściej niż zwykle. Postaram się.

Nie poszłam spać. Poczekalam jeszcze trochę i zadzwoniłam.

– Mamo!

– Córuniu, która to godzina u ciebie? – Ten głos, który natychmiast mnie wyciszył, uspokoił.
– Powinnaś spać, mam nadzieję, że nie pracujesz o tej porze, przecież nie po to wyjechaliście z Nowego Jorku, coś się stało?

– Mamuniu! Rozmawiałam z Margot. Wiem.

– Wszystko będzie dobrze, dziecko, już sobie wszystko z ojcem układamy. Kupiłam mu książkę z metodami leczenia. Siedzi teraz w Internecie i rozważa różne opcje. Jest bardzo spokojny, dowcipkuje, poprosił, żeby mu zrobić śmietanowca. Czyta na temat odpowiedniej diety. Chcesz z nim porozmawiać?

Oczywiście chciałam. Usłyszałam to ukochane: „Córuchno droga” i potoczyła się rozmowa, jakby nigdy nic. Ani słowa o chorobie! Dobrze, tato, rozmawiamy o czym chcesz, byle słyszeć twój głos...

W poniedziałek był Halloween i przeminął jakoś tak bez specjalnego echa. Odkąd tu jesteśmy, wystawiam tego dnia przed drzwi, jak większość moich sąsiadów, jakiś stołeczek czy stolik z miłą słodyczy. Samoobsługa! Dla towarzystwa i dla zachowania tradycji (boooo!) sadzam małą czarownicę na miotle i czarnego zjeżonego kota. Moje słodycze poszły tym razem szybciej, niż myślałam. Może rodzice pomogli? W każdym razie, kiedy wyjrzałam późnym wieczorem, na dnie miski poniewierał się jeden mały cukierek, i to podrzutek. Któreś z dzieci wymieniło na moje czekoladowe łakocie.

Zauważyłam też, że obok naszych samochodów, Subaru i Chevy, pojawił się dobrze nam znany, choć tylko jesienią i zimą, beżowy Buick Enclave z tablicami Illinois.

– Przyjechali sąsiedzi z góry – zameldowałam Lou.

– O, to znaczy początek prawdziwej jesieni! Słyszałem kroki na górze. Jakoś lubię wiedzieć, że są z powrotem.

– Lubisz, bo wiesz, że wyjadą niedługo na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, wrócą na początku stycznia i wyjadą znowu w kwietniu.

– Są mili. Ale masz rację, to, że są tu tylko parę miesięcy w roku, pomaga mi ich lubić!

Pat i Jim mieszkają głównie w Chicago. Są po osiemdziesiątce. Z pokolenia, które dużo pracowało, ale widziało efekty swojej pracy. Mają dom pod miastem w osiedlu „ze wspomaganie”, ułatwiającym codzienne emeryckie życie, a na południe zjeżdżają, żeby uniknąć zimy. Kupili mieszkanie nad nami wiele lat temu, kiedy nasze osiedle budowano, i byli jednymi z pierwszych właścicieli czegoś, co na ówczesne czasy było bardzo nowoczesne i eleganckie. Nie przepadają za grzebaniem się w ziemi, nie gotują, nie brudzą, nie palą, prawie nie przyjmują, nie słuchają głośno muzyki. Owszem, piją wieczorami drinki, liczba mnoga absolutnie na miejscu, na które nas od czasu do czasu zapraszają. Wchodzimy wtedy na górę, do tego nieskazitelnie utrzymanego pudełeczka, z jakimś poczuciem, że nie można tam niczego zabrudzić, pomiąć, przesunąć. Stawiamy bardzo ostrożnie i posłusznie na podsuwanych nam podstawkach wielkie szklanki koktajlowe, które Jim napełnia jakimś eksperymentalnym produktem z ogromną ilością lodu i dziwimy się, że tu w ogóle wolno głębiej odetchnąć. Siedzimy w tej bombonierce jakiś czas, a potem z ulgą schodzimy na dół do naszego światka w kolorach Karaibów i do naszej puszystej kotki, która siada, gdzie chce i jest ogromnie ważna i my, i ona o tym doskonale wiemy. Patrzymy na stopy niby poukładanych, ale nie aż tak żeby, książek, podsuwamy kolejną poduszkę Ninon, żeby jej się dobrze spało, wdychamy zapach owoców, stojących w misce w kuchni, a może zupy grzybowej, którą tak oboje lubimy robić jesienią i padamy na ulubione zgrabne, niewielkie kanapy, przykryte niby to w obronie przed kocimi pazurami.

– Aaa, jak dobrze w domu! Jak oni mogą mieć tak kompletnie czysto w kuchni. Nawet kubka do herbaty na wierzchu!

– Mogą, bo nie gotują. Przecież widzisz, jak Jim rano wyjeżdża po kawę i śniadanie do Dunkina, a w południe jadą na pizzę kilka ulic dalej.

– Tak, nie pojmę tego, ale to ich życie, nie nasze. Słuchaj, *mon coeur*, jak ich zaprosimy, trzeba ciut ogarnąć książki. Widzę, że znowu coś kupiłeś, przecież tego nie ma już gdzie trzymać!

Lou podsunął mi Thomasa Cahilla *Mysteries of the Middle Ages*. No cóż, uśmiechnęłam się.

– Wiedziałeś, że chciałam to mieć.

– Wiedziałem, kobieto mego życia! – Podeszedł do mnie i głośnym cmokiem w czoło potwierdził tę wiedzę.

Oboje jesteśmy książkowymi łasuchami. Tak właśnie należy to ująć. Bo można czytać z Kindla czy Nooka, można, ale ten zapach, dotykane kartek, przewracanie ich, wracanie do jakiejś nieuchwyconej wcześniej czy pominiętej myśli... To wszystko sprawia dużo większą przyjemność, kiedy trzyma się w ręku książkę, wyczuwając pod palcami jej grzbiet, zakładając ją w miejscu, gdzie się skończyło czytać. Ileż razy kładę sobie jakąś ulubioną na nocnym stoliku w nadziei, że przed snem zanurzę się w gąszcz słów, a potem, już po kilku minutach odkładam i zasypiam. Książka przy łóżku to zresztą osobny rodzaj książki. To musi być wybór przemyślany, bo nim kończy się dzień. W nastroju słów, które czytasz, kładziesz się spać. Więc weź do ręki coś miłego, pogodnego, odprężającego. Nie musi to być, choć oczywiście może, wielka literatura. Ale dlaczego nie *Kubuś Puchatek*, jeśli ci to sprawi przyjemność! Tak właśnie mówiła do mnie ostatnio Véronique. Co prawda ona zasypia teraz z Tukidydesem!

W dniu wyborów głosowaliśmy raniutko, ale postanowiliśmy, że do wieczora nie będziemy nerwowo śledzić rezultatów. W jedynej przerwie, jaką tego dnia miałam między dwiema grupami

studentów, weszłam do pokoju, który służył za absolutnie wszystko: administrację, miejsce, gdzie można było zrobić sobie kawę i herbatę, spotkać się z koleżanką/kolegą dla wymiany edukacyjnych poglądów, poradzić się, co robić z odpornymi na piękno języka studentami. Tego dnia było w tym pokoiku gwarno i może nie nerwowo, ale napięcie wisiało w powietrzu. Przeszłam obok dwóch koleżanek, których poglądy polityczne co prawda znałam, ale ich nie podzielałam, i kolegi, który może myślał jak ja, ale się specjalnie nie ujawniał („Wiesz, tu wszyscy są niebiescy, ale w taki kompletnie ograniczony, bezmyślny sposób”). Słyszałam strzępy rozmów („Czy wygra ten pozer?”, „Czy jesteśmy gotowi na kobietę?”). Dla mnie rzecz nie na tym polegała. Przecież chcemy silnego, sytego, szczęśliwego kraju, w którym ktokolwiek wygra, będzie prezydentem wszystkich. A do sytości i szczęśliwości jest w wielu miejscach daleko. Do jedności też. Moja ukochana Floryda rozbita jest politycznie na trzy części: południe tradycyjnie głosuje na Demokratów, północny zachód, włącznie ze stolicą, Thalahassee, na Republikanów, a środek, ubogi środek, jest jęczyzkiem u wagi. W tym roku środkowa Floryda to Puerto Rico, które zjeżdża tu, odkąd u siebie ma praktycznie ekonomiczną plajtę, więc raczej będzie głosować na czerwono, a południe z Latynosami, obawiającymi się niedobrych dla siebie zmian, może skłaniać się ku barwie niebieskiej. To nie będzie zmiana koloru, ale jego natężenia. My jesteśmy na tradycyjnie niebieskim południu, ale ostatnio słyszę, że wiele osób zmienia swoje preferencje na bardziej czerwone. Jedna z moich sąsiadek oznajmiła mi wprost, że zmienia obóz, bo nie będzie głosować „na tę uwikłaną w nie wiadomo co kobietę”.

Jasne, że kiedy do wyboru są dwie kandydatury, z których żadna nie wzbudza ani krzty entuzjazmu, a taki był nastrój wielu wyborców, o ostatecznej decyzji przesądzają czasem jakieś zupełnie pozawyborcze, emocjonalne kryteria typu: „Ona ma jakiś taki krzywy profil” albo „Nie znoszę tych żółtych włosów”. Ja zadałam sobie pytanie: czego oczekuję po tym wyborze, a nie – na kogo chcę głosować. Nie muszę „personifikować”.

Poszliśmy z Lou spać o przyzwoitej godzinie. Jakoś mieliśmy wrażenie, że rzeczy układają się lepiej dla niebieskich, dla Demokratów.

Przypomniało mi się, jak byłam w czerwcu w Warszawie i śledziłam z rodzicami i Młodym głosowanie w sprawie Brexitu. Kiedy zdecydowaliśmy się odejść od telewizora, sondaże dawały przewagę zwolennikom pozostania w Unii.

Ojciec stwierdził:

– Możemy być chyba spokojni.

Rano Młody zapukał do mojego pokoiku. Bardzo rano!

– Hej, sio, mamy niespodziankę! Brytyjczycy wychodzą! Sondaże dały...

– Co ty mówisz, Młody, zjedz coś, to ci cukier wróci do normy! Bredzisz. Wieczorem przecież wszystko wyglądało w porządku!

– Wyglądało, ale nie jest, rynek wali na łeb na szyję! Może w funta włądować, cholernie nisko stoi. Po zakupy pojechać, póki nas stamtąd nie zaczną wyrzucać?

Tak, Brexit był w tym sensie pełnym zaskoczeniem. Zwłaszcza dla tych, którzy w ten wyjątkowo deszczowy i ponury dzień nie bardzo mieli ochotę wychodzić, a sondaże tylko utwierdzały ich w pewności, że faktycznie nie warto otwierać parasola, skoro i tak przewaga jest po stronie zwolenników pozostania w europejskiej rodzinie. Dysfunkcyjnej co prawda, ale rodzinie.

Tak samo zaskoczeni byliśmy teraz z Lou, kiedy wstaliśmy rano. Dobrze, wygrał Trump. OK. Ale przewaga była dużo większa, niż oczekiwaliśmy. To nie była wygrana marginalna, nie prawie pół na pół, co wydawało nam się bardziej prawdopodobne.

– Dla mnie to jasne, wpisuje się we wszystko, co dzieje się na świecie. Rynek teraz histerycznie walnie w dół, ci, co mają na to środki, obłowią się, bo za moment rynek zacznie wyrównywać.

– Och, Lou, nie rynek jest w tym wszystkim najważniejszy!

– Otóż tak, jest najważniejszy, słodczy ty moja. Moja idealistka non-profit! A swoją drogą, tak, ten wybór pokazuje ogromną potrzebę zmiany, odejścia od czegokolwiek, co kojarzy się z ustalonymi regułami gry. I wcale nie wiem, czy był taki zaskakujący. Dla mnie na pewno nie!

– Obama też był osiem lat temu uosobieniem zmiany.

– Ale można było go jakoś określić, wpisywał się w coś znanego, chciał zmiany w obrębie tego, co istniało, to nie była chęć rewolucyjnych, bulwersujących zmian. Tu masz faceta, który jest spoza, a przynajmniej sprawia wrażenie bycia spoza, i daje nadzieję na coś innego. On nigdy nie był w polityce ani w wojsku, on był i jest w pieniądzech... Inna bajka, *mon amour!*

Véronique zadzwoniła do mnie, zanim wyszłam na zajęcia. Wiedziała, że potem nie będę mogła odebrać telefonu.

– Nie przeszkadzam ci? Chyba możesz mi pogratulować? Nie pytam, na kogo w końcu głosowałaś.

– Aż taka *political correctness*? Ale z pewnością chciałabyś wiedzieć, hej, nie udawaj, że nie!

– Nie, raczej chciałabym się z tobą zobaczyć, napić się herbaty z błękitnych filiżanek, no, ale muszę poczekać do soboty.

Jej głos wyrażał nadzieję, a i ja chętnie bym posiedziała u niej pół godzinki, ale naprawdę nie mogłam. A poza tym „pół godzinki” w języku Véronique oznaczało wiele godzin.

– Będę miała dla ciebie niespodziankę w sobotę. Konia Kaliguli! Przygotuj się!

Opowiedziałam Véro tę historię, a ona na to spokojnie: „Wiem, o kogo chodzi, Al Vrublevskyi, znamy się dobrze. Zwróciłaś uwagę na te błękitne oczy? Niestychnane!”

– Spotkamy się w Fort Lauderdale, w tej europejskiej kawiarence. Przyjedź po mnie. Do soboty! I nie mów, na kogo zmarnowałaś swój głos!

Jakbym widziała, musiała się w tym momencie figlarnie uśmiechnąć!

Pod domem Véronique stał już wyprowadzony z garażu „mały Cadillac”, to znaczy CTS Coupe, dwudrzwiowy zwierz w szalonym czerwonym kolorze, beżowo-czerwona skóra w środku, mahoniowa kierownica, szaleństwo automobilowej wyobraźni. Samochód, za którym byłam w stanie

się obejrzeć. Widocznie Véronique chciała jechać nim na spotkanie, ale ja pomyślałam, że tego czegoś, chociaż nazwanego „małym”, nie poprowadzę.

– Chcesz jechać? – powiedziałam, prawie zamiast dzień dobry.

– A może najpierw herbatki, *ma puce* – Véronique po raz pierwszy użyła wobec mnie słodkiego określenia „moja pchełko”. – Przygotowana taka, jaką lubisz: zielona japońska, idealna na początek dnia.

– Véro, herbatka tak, Caddy nie!

– Co ty masz przeciw mojemu małemu Caddy?

– Dużo. Przede wszystkim to, że nie jest mój. Że boję się tego zwierza prowadzić. Pojedziemy moim.

„Mój” oznaczało Subaru, za którym nie przepadała. Do tego ja, w przeciwieństwie do niej, prowadziłam znacznie spokojniej, „statecznie”, jak to nazywała.

– Ja poprowadzę – stwierdziła łagodnie, ale stanowczo.

– A to OK. Inna rozmowa, Madame!

– Nie boisz się jechać z osiemdziesięcioośmioletnią osobą, w dodatku... kobietą?

– Chyba żartujesz, mam nadzieję, że pociśniesz go trochę na I-95, co?

Mały diabełek zaiskrzył w niebieskoszarych oczach. Pociśnie, wiedziałam, jak prowadzi. Z pewnością nie jak osiemdziesięcioośmioletnia pani. Ale, ku memu zaskoczeniu, powiedziała:

– Chciałam jechać A1A, a nie drogą szybkiego ruchu. Dziś nie ma wschodniego wiatru, ocean będzie spokojny, pelikany będą pikować po ryby... Możemy rozsunąć dach...

– O! To dobry pomysł, chętnie pooglądałam z Madame pelikany przed intelektualną rozmową z Alexem.

Alex: głęboko myślący facet. Sześćdziesiątka na karku, tak go oceniałam. Świetnie wyglądał, zadbany, ale nie w taki nadmierny, wystudiowany sposób. Mówił niewiele, w paru słowach zawierał kwintesencję rozmowy, dyskusji czy zwykłej wymiany zdań. Najpierw słuchał, kiwał głową, podtrzymywał swojego interlokutora w jego myśleniu, dając znać oczyma i całą twarzą, że słucha wnikliwie i jest zainteresowany. Wiedział, kiedy milczeć. Mógł tak przemilczeć sporo czasu. Nie śpieszył się, ale w końcu wypowiadał swoją myśl dosadnie, w kilku słowach. „Koń Kaliguli” to właśnie jedna z takich typowych dla niego odzywek. „Poobracajcie trochę tymi młyńskimi kamieniami”, mówił do swoich studentów. „Co tam, jedna komórka nie może dogonić drugiej? Trochę wysiłku trzeba włożyć w myślenie, nawet o literaturze!” Chodziłam czasem na jego wykłady, bo mówił o Achmatowej, Zoszczenec, Mandelsztamie, poetach nieznanych w Stanach. Recytował w tym melodyjnym, stworzonym do poezji języku. W rosyjskim jak we francuskim, poezje recytuje się, wymawiając słowa inaczej niż w mowie potocznej. Jest w tym trochę patosu, specjalny sposób rozkładania akcentów, pewna melodyka. Mimo że nie znam rosyjskiego, lubię po prostu słuchać, jak ten język się toczy, jak faluje, jak spływa na słuchacza kaskadą dźwięków. Alex na żywo tłumaczył

na angielski. Studenci byli nim zachwyceni. Ma wielu wielbicieli, ale nie wszyscy akceptują jego podejście do tematu: „Przemycza treści”, „Jest zbyt antyrosyjski”, „Jego sarkazm nie zawsze jest na miejscu” itp. Inaczej mówiąc, facet jest inny i znacznie ciekawszy od wielu swoich kolegów i koleżanek po fachu. Przynajmniej ja to tak odbieram. A że ma swoiste poczucie humoru, no ma, jest sarkastyczny, może nawet czasem szczypta goryczy znaczy jego język i myślenie, ale mnie się to podoba.

Byłyśmy spóźnione, bo Véronique mocno zmarudziła na A1A i nawet stanęła na chwilę przy maleńkiej plaży, żeby popatrzeć na lekkie fale, które leniwie osiadały na płycznach odpływu. Madame rozsunęła dach, więc musiała jechać wolno. Mnie to nie przeszkadzało, ale jakieś wewnętrzne poczucie obowiązku i przyzwoitości kazało mi co jakiś czas mówić: „Jak myślisz, zdążymy? Pewno nie chciałabyś, żeby czekał?” Na co Véronique leciutko wzruszała ramionami: „On pewno i tak tam już siedzi i czyta jakąś znakomitą książkę, i nawet nie wie, która godzina”.

I rzeczywiście. Alex siedział przy stoliku i czytał, uśmiechając się, widocznie do treści książki, bo nas nie mógł zobaczyć, a jednocześnie, najwyraźniej ze smakiem, podgryzał jakieś ciacho.

– Chyba je rumową babkę. My też sobie zamówimy. Choć powiem ci szczerze, że to nie to samo „Caffé Europa”, co kilka lat temu.

– Przedtem to była europejska kawiarnia starego typu, mieli cudowne słodczyce, teraz zrobiła się trattoria.

– No, ale miło się siedzi na tarasie. Tylko te torty mnie irytują. Nawet nie wyglądają smacznie, tylko wielko! Kiedyś mieli tu świetne, polane gorzką czekoladą...

– Eklerki, pamiętam!

Al wstał na nasze powitanie, skłonił się staromodnie i szarmancko, odsunął fotel dla Véronique i prawie zdążył zrobić to samo z moim, ale go sprytnie ubiegłam („Przepraszam, nie zdążyłem, jesteś zbyt szybka”), po czym swoim angielskim, zabarwionym rosyjską intonacją, co – przynaję – miało pewien urok, posłał pod adresem Véronique parę wykwintych komplementów. Ona, zadowolona, odparła:

– Lubię tę twoją staroświecką uprzejmość. Galanteria europejska z dodatkiem wschodniego szarmu...

Zaczęli rozmawiać, prawie nie zwracając na mnie uwagi, więc spojrzałam na książkę leżącą na stole.

– Gumilow. Nikołaj Stiepanowicz. *Czużoje niebo*, czyli *Obce niebo*. Tomik poezji z 1912 roku – usłyszałam Alexa. Odwróciłam głowę w kierunku ciepłego niskiego głosu. Napotkałam bardzo błękitne oczy.

– Dzięki. Nie przeliterowałabym tego. Nie znam rosyjskiego, a szkoda, byłoby dobrze móc czytać Achmatową w oryginale. On był jej pierwszym mężem, prawda?

– Tak. Był. Rosyjski to trudny język dla Francuza.

– Ja jestem Polką po ojcu, a Francuzką po mamie.

Jeśli nawet Alex był zaskoczony, to nie dał po sobie niczego poznać, natomiast Véronique otworzyła szeroko usta.

– Nigdy o tym nie mówiłaś! – wykrzyknęła. – To diabelnie ciekawe! Ale, ale, przecież masz francuskie nazwisko. Turcotte nie brzmi bardzo polsko, czyż nie tak, Al?

– Używam panińskiego nazwiska mojej mamy, to znaczy ja i siostra nosimy nazwisko mamy, chłopcy nazwisko ojca. Tak sobie moi rodzice wymyślili. Podpisali taki cyrograf w dniu ślubu. Prawnie...

– Ty wiesz – wpadła mi entuzjastycznie w słowo Véro – to jest niezwykle ciekawe, twoi rodzice mi się podobają!

– Turcotte jest nazwiskiem panińskim twojej mamy – powtórzył Alex. Kiwnęłam głową.

Véro przez moment patrzyła na niego z uwagą.

– Prawnie jest to możliwe, ale nie słyszałam o wielu takich wypadkach. Zresztą, najpierw rodzice chcieli, żebyśmy wszyscy mieli podwójne nazwisko, na szczęście od tego zamiaru odeszli. Jesteśmy domem francusko-polskim. Mama bardzo pilnowała, żebyśmy kształcili się w obu językach.

– A jak brzmi nazwisko twojego ojca? – To Alex wynurzył się ze swojego milczenia.

– Grdulewski. Oczywiście to jest wersja męska, gdybym ja je nosiła, używałabym „a”, a nie „i” na końcu

Véronique, którą rozpierała ciekawość, wykrzyknęła z entuzjazmem:

– Podoba mi się to!

– Tak jest i w innych słowiańskich językach – łagodnie uzupełnił Al.

– A jednak – Véro zastanowiła się – w Stanach czy w Kanadzie często słyszę polskie żeńskie nazwiska z końcówką „i”.

– To nie jest prawidłowe, ale przyjęte. Tak jest łatwiej. Wczesne pokolenia emigrantów z Polski czy Rosji tak bardzo chciały się wtopić w krajobraz kraju, który ich przyjął i pozwolił im lepiej żyć, że nie zwracano na to uwagi. Ja, kiedy podaję nazwisko mojej mamy: „Turcotte-Grdulewska”, bo tak brzmi ono oficjalnie, mam ogromny kłopot, bo z reguły piszą mi Grdulewski, zamiast Grdulewska. Nie pomagają literowanie.

– Literowanie zajmuje ci trochę czasu! – Najwyraźniej wprawiłam Véro w jakiś świetny lingwistyczny humor.

– Tak, jak tylko zacznę, następuje najpierw cisza, a potem słyszę: „Sorry, czy możesz zacząć od początku, nie nadałam!” Więc >G< jak George, >R< jak Robert, >D< jak Daniel”... No, trochę czasu to zajmuje, ale przyzwyczyłam się. Moje nazwisko też wzbudza czasem panikę: „Jak to wymawiasz? Terkot czy Tarkot?”

– Powiedzmy, że oba nazwiska tworzą oryginalne zestawienie. – Alex oczywiście super korekt. Powinien być dyplomatą, pomyślałam. A może i kiedyś był? Ma jakiś urok, takie *je ne sais pas quoi*.

– Ja bym nie była w stanie wymówić tego drugiego członu, tyle spółgłosek – to Véronique. – Ale, ale, musisz mi opowiedzieć choć trochę o twoich rodzicach. To wygląda na jakąś romantyczną historię!

– Kiedyś, czemu nie. Ale korzystajmy z obecności eksperta i mówmy o poezji.

– Ona jest mową ludzkości, przenika kultury i języki – pomógł mi wyjść z sytuacji.

– Chodzę czasem na twoje wykłady, Alex...

– Wiem – powiedział tak, jakby mu się to wyrwało, emocjonalnie, zaraz potem powrót do poprawności – zauważyłem cię kilka dni temu, miło widzieć zainteresowanie ze strony nie tylko moich biednych studentów, którzy nie mają wyboru.

– ...lubię słuchać recytacji po rosyjsku – podjęłam – przypomina mi to francuski staroświecki sposób podawania wiersza, rymu i rytmu, z „r” wymawianym bez grasejowania, jak w łacinie. Nie ma znaczenia, że nie znam języka.

– Tak, to bardzo efektowny sposób oddawania poezji – wtrąciła jakby w zamyśleniu Véro – ale – ożywiła się – czy zamówimy wreszcie nasze ciastka, bo widzę, że wyglądają niezmiernie smakowicie – tu spojrzała na talerzyk Alexa, na którym pozostała już wątła tylko część rumowej babeczki.

– Herbata też tu niezła, parzona, liściasta! – dorzucił Al. – Ale może panie wolą kawę?

– Nie, obie z Anną kochamy dobrze parzoną liściastą herbatę. Przejdźmy do istotnych rzeczy – i Véronique rozejrzała się energicznie za kelnerka.

– Myślałem, że istotną rzeczą jest wynik wyborów – błękitne oczy zmrużyły się ciepło. – A ciastka pozwoliłem sobie zamówić wcześniej. Mam nadzieję, że mój wybór zyska akceptację.

– Głosowałeś na Furię? Chyba nie, wszyscy Rosjanie, jakich znam, mają raczej konserwatywne poglądy.

– Nie jestem aż tak zakonserwowany ani aż tak rosyjski, żeby móc głosować na politykę sprzed lodowca, ale nie umiałbym też wybrać osoby, którą, droga przyjaciółko, nazwałś w czasie naszej ostatniej rozmowy „politycznym robotem”.

– Więc nie głosowałeś! To świetnie. To tak jakbyś oddał głos na Trumpa!

– Nie. Nie głosowałem. Nie umiałem się zgwałcić – z godnością rzucił Al, odbierając od kelnerki talerzyk z ciastkiem i podsuwając go Véronique. – Politycznie i elektoralnie zgwałcić – dodał, stawiając przede mną moje ciacho. Miałam ogromną ochotę natychmiast zacząć je jeść. Dwa ptysie, jeden większy, drugi mniejszy ustawione jeden na drugim i polane ciemną, czekoladową masą. I trochę białej, kremowej dekoracji. *Religieuses*, zakonnice, tak nazywało się we Francji. *Papie*, mój francuski dziadek mówił, że nazwa nawiązuje do trybu życia tychże, do nieodmawiania sobie ziemskich uciech.

– Jedyne, co mi się podobało u Madame Clinton, to jej ubiór w czasie mowy „pożegnalnej”. Miała na sobie przepięknego Ralphi Lauren. Grafitowy kostium z fioletowymi wyłogami. Bill miał krawat w tymże kolorze. Zgrana para w starannie dobranych kolorach żałoby. Co za finezja! Ona nawet nie zdaje sobie sprawy, w jakim świecie żyje, i dalej do niej nie dociera, dlaczego przegrała!

– Trumpowie jako rodzina zwycięzców też nie byli ubrani w byle co, no może nie dobrali ubiorów kolorystycznie, jakoś tak każdy sobie, ale Melania lubi Ralpa, tyle że on nie jest jej guru, przynajmniej na razie... – wtrąciłam swoje trzy grosze, oblizując widelczyk z kremu mokka.

– *Ma puce*, tak, ale chodzi mi o to, że cały świat mody, ten świat supermody, jak Diana von Furstenberg, Anna Wintour, opowiedział się całkowicie za Hillary. Cały ten oderwany od rzeczywistości świat uważał, że stawia na właściwego konia. I broni zagrożonej demokracji! Ciekawe, jak się teraz czują? Kto przejdzie Rubikon!

Al, który dotychczas milczał, miał ochotę coś wtrącić, ale się powstrzymał. Błękitna koszula była o ton ciemniejsza od błękitu jego oczu. Pomyślałam o piosence Edith Piaff: *Plus bleu que le bleu de tes yeux*, błękitniejsze niż błękit twoich oczu.

– Droga przyjaciółko – zaczął po chwili. – Znamy się od wielu lat. Dzieliliśmy wiele trosk i radości, ale mamy spore różnice zdań, jeśli chodzi o modę i politykę. Nie sadzę, żebyśmy mogli te różnice całkowicie zniwelować. Wobec tego – tu uniósł filiżankę z herbatą – wznoszę toast: *Vive la différence!* Niech żyje różnica zdań! To jest demokracja.

Véronique roześmiała się szczerze i serdecznie. Przechyliła się przez stolik i pocałowała Alexa w policzek.

– Zawsze mnie rozbroisz. Ubóstwiam cię!

Głupio mi było w niedzielę wieczorem, kiedy odbierałam od Véronique czek za weekend. Zauważyła to.

– Poświęcasz mi cały swój wolny czas, bardzo to doceniam. Ogromnie lubię twoje towarzystwo. Nigdy nie myślałam, że nasze rozmowy będą tak wzbogacać moje życie.

– Wzbogacają i moje, Véronique, nie tylko w sensie dosłownym – tu pokazałam na kopertę i puściłam do niej oczko. Jednak nie tak filuternie jak to robiła ona.

Zadzwoił Jacques, mój adwokat z ubezpieczenia. Allstate mi go wybrało. Francuskojęzyczny montrealczyk prowadzący sprawy wielu Kanadyjczyków na południowej Florydzie.

Zaczął mi relacjonować, że moje ubezpieczenie zdecydowane jest wypłacić poszkodowanemu całą sumę, sto tysięcy dolarów. To dobrze, pomyślałam, to powinno sprawę załatwić.

– Ten młody człowiek ma teraz problemy z kręgosłupem, a ponieważ pracuje w firmie przeprowadzkowej, która należy do ojca, więc adwokat drugiej strony twierdzi, że z tego powodu nie będzie już w stanie nigdy tej ciężkiej, fizycznej pracy wykonywać. W związku z tym, że – według nich – jesteś całkowicie odpowiedzialna za ten wypadek, żąda w imieniu swojego klienta „prywatnego zadośćuczynienia” w wysokości następnych stu tysięcy. I to w trybie natychmiastowym.

Tapnęłam wewnątrz. Drobiazg. Sto tysięcy! Czeki od Véronique mi w tym nie pomogą!

– Oczywiście tryb natychmiastowy wybiłem im z głowy. No i sto tysięcy dolarów to jest suma kompletnie z sufitu, skoro chłopak dostanie z twojego ubezpieczenia sto...

– Wspominałeś, że poszkodowany złożył oświadczenie opisujące przebieg wypadku i w nim stwierdził, że ja się przed wejściem w zakręt kompletnie zatrzymałam. Myślał, że to oznacza, że go zobaczyłam i czekam, aż przejedzie. Ale ja go nie widziałam i ruszyłam powoli, nie z kopyta. Bardzo powoli. Wiele razy to mówiłam – po prostu go nie widziałam. Lou też go nie widział z siedzenia obok. Zauważył go w ostatniej chwili, kiedy było za późno. Facet wyprysnął zza palmy i wylądował na naszym zderzaku. To był wypadek. Wypadek. Nie mogę być całkowicie odpowiedzialna za ten wypadek, bo ja tego motocyklisty nie widziałam. On natomiast mnie widział. Ulica była puściutka przed, za i obok nas, dwa prawe pasy wolne, mógł zrobić jakiś wysiętek, żeby uniknąć zderzenia.

– Pamiętaj, że złożył to oświadczenie, zanim wziął adwokata. Może je odwołać. Aha, no i jeszcze jedno: on uważa, że nie ty prowadziłaś, tylko twój partner.

– Co? To bzdura!

– Ale nie masz świadków. Zresztą on też nie ma, więc to będzie twoje słowo przeciw jego. Oczywiście tylko w wypadku, gdyby doszło do procesu, którego, jak powiedziałaś, chcesz uniknąć.

– Jacques, ja prowadziłam, zeznałam tak przed policją, bo to jest zgodne z prawdą!

– Oświadczenie przed policją niczego nie udowadnia. Do niczego cię nie zobowiązuje. Możesz je odwołać.

– To po co te oświadczenia są składane? A sprawiedliwość do czegoś zobowiązuje?

– Anna, jeśli teraz pójdziemy do sądu, on ma w kieszeni wygraną. Sędziowskie jury zobaczy młodego faceta, który stracił zdolność do wykonywania zawodu, ciężko pracującego w firmie ojca. Ta firma to on i ojciec, i jedna ciężarówka! Ubezpieczenie nie pokrywa leczenia. Leczenie może być długie. Same atuty. Ale nie dla nas!

– Czemu usiłują wciągnąć w to Lou? Mówiliśmy, że właścicielem samochodu jestem ja, kierowcą byłam ja, więc Lou powinien być wyłączony, nie jesteśmy we wspólnocie partnerskiej czy małżeńskiej.

– Teoretycznie mogliby wtedy dochodzić zadośćuczynienia od was obojga. Więcej pieniędzy. Usiłują znaleźć taśmę z jakiejś ulicznej kamery. Dość leniwie się zresztą do tego zabierają.

– Myśmy z Lou też usiłowali wypatrzeć taką kamerę. To by wiele rozwiązało. Ale tamto miejsce jest akurat między dwiema kamerami i żadna go nie obejmuje, a szkoda. Jacques, ja nie mam nawet jednej setnej pieniędzy, jakich oni chcą!

– To działa w jakimś sensie na twoją korzyść, bo nie ma z czego tych pieniędzy ściągnąć. Tak od razu... Możesz złożyć oświadczenie finansowe, ale już o tym rozmawialiśmy. Masz mieszkanie, wspólnie z rodzeństwem, dom twojej babci we Francji. Uwier mi, oni to już wiedzą, od tego jest jego adwokat, żeby wiedzieć, ile jesteś warta.

– Wspólne mieszkanie nie należy do mnie, tylko do naszej czwórki. Tak, miałam kiedyś pieniądze, które mogłam wnieść jako swój udział. Wtedy, w Nowym Jorku, inaczej pracowałam i zupełnie inaczej zarabiałam. Mamy z tego mieszkania dochód, ale on pokrywa nasze utrzymanie. Babcia żyje, życzyła sobie takiego załatwienia sprawy po śmierci dziadka. Ma osiemdziesiąt dziewięć

lat! Moje rodzeństwo się zgodziło. Słuchaj, to wszystko wydaje mi się jakąś farsą. Przecież po ludzku rozumując, nie mogę żadnej z tych „posiadłości”, jak mówisz, sprzedać.

– To nie musi ich obchodzić. Oni chcą zadośćuczynienia. Mieszkanie wynajmujecie. W Nowym Jorku! Więc jest spory dochód. Teoretycznie dom możesz sprzedać, a babcię przenieść do czegoś mniejszego. Teoretycznie! Ja nie mówię, że masz to rzeczywiście zrobić. Mówię, że oni tak rozumują. Bez emocji. To nie ich rodzeństwo i nie ich babcia, ale ich będą pieniądze. Tylko one się tu liczą. Wykupujesz się z tej sytuacji i to wszystko. Chodzi tylko o to, ZA ILE! – ostatnie słowa prawie wykrzyczał. I zaraz dodał: – Jest jednak pewien aspekt, który możemy wykorzystać. Myślę, że potrzebują pieniędzy i będą chcieli negocjować. Pamiętasz, mówiłem wam z Lou o tym, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy. Jeśli chcesz, zaczniemy negocjacje. To jest moja rola. Będzie trochę przepychania i nerwów, ale zobaczymy, może zgodzą się na dużo, dużo niższą sumę. Takie negocjacje to trochę jak gra w pokera. Praktycznie mało co jest do przewidzenia.

– Poker? Przerażasz mnie, Jacques! Ale OK, idźmy na negocjacje, zyskam czas.

– Przemysł wszystko. Porozmawiaj z Lou, może z rodziną...

– O nie, ich nie będę wciągać, jak długo się da, a może nie będę musiała tego wcale robić.

– OK. *A bientôt*, Anna! Do szybkiego! Zadzwoń do mnie za kilka dni. Mamy dziesięciodniowe okienko na odpowiedź. A, i jeszcze jedno, jego adwokat bierze trzydzieści trzy procent wszystkiego. Trzydzieści trzy tysiące z tych stu, które da twoje ubezpieczenie po przeprowadzeniu ugody, jest już jego. Jeśli pójdziemy do sądu, czterdzieści procent tego, co otrzymają, idzie do kieszeni adwokata. Stąd, sama rozumiesz, jego agresywne zachowanie i stawiane warunków, których nie możemy zaakceptować..

– Dzięki za uświadomienie mi tej sytuacji.

Zastanowiłam się.

– Czy to znaczy, że gdyby nie wziął adwokata, dostałby to samo sto tylko dla siebie, a ja może nie miałabym problemu?

– Tak, mógł działać tak jak ty, przez adwokata opłaconego przez swoje towarzystwo ubezpieczeniowe albo negocjować sam, bezpośrednio. Ale ktoś mu pewno „dobrze” doradził: „Nie daj się, weź kogoś, kto da tamtym popalić, inaczej nie zobaczysz prawdziwych pieniędzy. Wina jest całkowicie po ich stronie, możesz zgarnąć, ile chcesz!”

– Ale wina nie jest...

– Anna, poczekaj. Mówię, co myśli druga strona i co drugiej stronie włożono do głowy. Więc młody człowiek najął agresywnego faceta i gotów jest zapłacić te trzydzieści trzy procent. Nie dostanie tej drugiej setki, jego adwokat pewno liczy na pięćdziesiąt tysięcy jako twoje „osobiste zadośćuczynienie”, ale wtedy, oblicz sobie, i tak dostanie sto tysięcy, bo sto pięćdziesiąt minus trzydzieści trzy procent równa się sto tysięcy pięćset, czyli praktycznie tyle, ile by dostał z twojego ubezpieczenia. Za to adwokat zgarnie pięćdziesiąt patoli!

– No i kompletnie pomijasz drobny fakt, że suma „osobistego tego tam” sprawi, że rozwali się całe moje życie. Moje i mojej rodziny, która pewnie rzuci się wtedy na pomoc, by praktycznie finansować pana adwokata, nawet nie poszkodowanego!

– To są sentymenty – zaśmiał się Jacques. – Pamiętaj, że będę cię reprezentował w negocjacjach i broniał, jeśli, nie daj Boże, dojdzie do rozprawy. Za to mi płaci Allstate.

Wieczorem zrelacjonowałam tę rozmowę Lou. Wysłuchał wszystkiego bardzo spokojnie, nie przerywał mi.

– Jak gra w pokera, powiedział... – Lou chwilę się zastanowił – gra w karty. Karciana gra. Rozgrywanie kart. A może ludzi? Słuchaj, musimy dostosować się do sytuacji. Przestań myśleć, jak bardzo szkoda ci tego motocyklisty, bo, jak widzisz, oni mają swój prościutki plan: wydoić, ile się da. Odstaw empatię. Dobrze, że nie posłałaś mu kwiatów! Pamiętasz, chciałaś to zrobić w pierwszym odruchu. Otóż teraz zostałyby to wykorzystane przeciw tobie! Przyznajesz się do pełnej winy! Słuchaj, koniec z sentymentami i emocjami. Jesteśmy w kraju, w którym prawnicy mogą wszystko. Idziemy na te negocjacje. I żadnych nerwów, słyszysz! – Tu pogroził mi palcem, uśmiechając się prawie kusząco, a ja ten palec złapałam i pocałowałam. Co ja bym robiła bez mojego Lou!

– Ale ja nie mam tej forsy. Sam wiesz.

– Oni spuszcza z tonu, to jest początek. To mocne wywieranie na ciebie presji, a nuż nie wytrzymasz, a nuż babcia powie: „Wykupię cię, wnusiu droga”. A nuż urwą, ile się da. Weźmiemy pożyczkę pod nasze zarobki, damy radę.

– Jak to „weźmiemy”? To jest tylko moja sprawa, oni usiłują cię wciągnąć, ale to im się nie uda. Idziemy na te przepychanki, nie ma co!

– A, to jest *ma petite femme*, moja kobietka! Brawo! A co do „my”, to jesteśmy w tym razem. Ja i ty. Dlatego, że jesteśmy razem, ja i ty. I dlatego, że chcemy być razem, ja i ty. Hm?

Podbiegłam do niego na palcach...

– Tak – powiedziałam mu do ucha i zaczęłam całować, a w chwilę później usłyszałam, nieco zdziwiona, swój własny głos: – I na „razem” też tak. –

Lou wziął mnie w ramiona.

– Jesteś kobietą mojego życia, słyszysz?

Byłam już z Lou od kilku dobrych lat. Poznaliśmy się, kiedy kończyła się moja sprawa rozwodowa, dlatego nie byłam w stanie wpuścić go na próg swojego życia. Siedziałam jak w jakimś kokonie, szczelnie odgradzona od wszelkich pozytywnych emocji.

– Powinnaś się była przespać ze swoim adwokatem. To jest normalka, wszyscy to robią, to oczyszcza krew – powiedział do mnie wtedy Georges-Marie, pijąc swoje podwójne espresso.

– To była kobieta, GM!

– Fajna?

Śmiałam się po raz pierwszy od wielu, wielu długich miesięcy! Nieoceniony GM, zawsze umie mnie wprowadzić w dobry humor! I zawsze myśli tylko o jednym.

Nie miałam absolutnie niczego, ale byłam wolna. Adwokaci mojego byłego doszczętnie mnie obrobili. Dobrze, że nie kazali płacić mu alimentów za moralne znęcanie się! Teoretycznie to było możliwe. Ten koszmar, nowojorski rozwód, to była zemsta za to, że nie chciałam być taką, jaką on sobie mnie wymyślił, nie umiałam być korporacyjną żoną, a więc nie byłam przydatna dla jego kariery. Po prostu wykasował mnie, dosłownie i w przenośni, ze swojego życia. Miał już upatrzoną odpowiednią partnerkę, która mogła mu pomóc w dalszym zdobywaniu pieniędzy za wszelką cenę.

Jasne, że bałam się nowego związku, nie chciałam w życiu nikogo, oprócz mojej kotki, brązowoczarnej manhattańskiej znajdy z puszystym ogonkiem, słodko mruczącej swoją miłość do mnie, kiedy leżałam wpatrzona w sufit w poczuciu całkowitej życiowej klęski.

Zamieszkaliśmy z Lou po prawie dwóch latach znajomości. To on nalegał, ja się bałam. Zadzwoił pewnego wieczoru, żeby umówić się na kolację w maleńkiej libańskiej knajpcie na rogu Trójki i Trzydziestej, tuż przy moim mieszkanku.

– Wpadnę najpierw do ciebie, bo chciałbym coś u ciebie zostawić.

„Wpadł” z niewielką walizką i ogromną, wypchaną torbą, którą Ninon zaczęła od razu obwąchiwać.

– Nie mam dodatkowej poduszki, ale wiem, że ty masz. Mogę zostać? Sprzedałem samochód. Na Manhattanie nie miałyby sensu go trzymać, prawda?

Tak mnie zaskoczył. Albo raczej nie. Tak bardzo chciałam być zaskoczona, że przyjąłem to z ulgą. Z ulgą osoby, która oczekuje zmiany, ale jej się obawia. Aha, miał jeszcze jedną torbę – pełną warzyw, owoców i pakiecików pachnących bliskowschodnią kuchnią.

– Nie musimy schodzić do Libańczyków, zrobię ci *tabuli* z bulgurem, chyba że wolisz *quinoę*, też mam, i *baba ghanoush*. Możesz zejść po bagietkę, do brie, na deser, chyba że ci się nie chce.

Chciało mi się. Tak zaczęło się nasze wspólne życie.

Ninon była zachwycona, bo Lou pozwalał jej spać na swoim brzuchu.

Przenieśliśmy się na Florydę, bo nam się w tym wariackim Nowym Jorku podobało, ale nie aż tak, żeby wsiąknąć w to miasto pełne hałasu, pozorów i... brudu.

– Jak my w tym mieście wychowamy naszą kotkę – mówił Lou do naszych znajomych, którzy dziwili się, że chcemy opuścić najlepsze, ich zdaniem, miejsce na ziemi, sam pępek świata. – Przecież to biedactwo nawet nie wie, co to trawa i drzewo! A poza tym tu są zimy!

Mieliśmy już trochę wspólnych rzeczy. Jechaliśmy na Florydę moim, wtedy już niemłodym, Subaru Forester, z doczepionym małym „U-Hall”, przyczepką, w której był cały nasz nowojorski dorobek, to znaczy ta jego część, która warta była przewożenia na nowe miejsce. Ja dostałam pracę i właściwie to przesądziło o naszej przeprowadzce. Miałam prowadzić lektorat francuskiego na Florida Atlantic University, FAU. Skromniutki lektoracik. Może wolałabym Florida International University albo Lynn, ale byłam zadowolona, że będziemy mieli za co żyć. Dla Lou właściwie nic się zawodowo nie zmieniło. Pracował jako freelancer dla kanadyjskiego francuskojęzycznego radia, tłumaczył trochę dla przedstawicielstw Monako w USA. Bardzo nudne polityczne i ekonomiczne teksty,

komunikaty prasowe. Dobrze płatne. Dlaczego Monako? Bo miał tam swoje dobre kontakty z tego, co nazywał „byłe życie”.

Życie z Lou we florydzkim rajku było tym, o czym marzyłam. Nie za dużo pieniędzy, ogromnie dużo radości, powoli rozrastające się grono znajomych, praca spokojna, zostawał czas na to, czego nam brakowało w NYC. Nie goniliśmy, nie szukaliśmy nie wiadomo czego. Kochałam go, wiedziałam o tym, ale nie umiałam tak zupełnie na oścież otworzyć tych drzwi. Były tylko lekko uchylone. Małżeństwo nie wchodziło dla mnie w grę. Nie! Taki odruch po tym, co przeszłam, ale też nie wyobrażałam już sobie życia bez Lou, chciałam go w swoim życiu.

Późnym wieczorem pojechaliśmy na naszą ulubioną plażę, żeby oglądać księżyc w pełni. Superksiężyc. Pełnia pełni. Od 1948 roku czegoś takiego nie było. Tyle że my z Lou nie wiedzieliśmy, że tego dnia, w poniedziałek dwunastego grudnia 2016, nastąpi tak rzadkie zjawisko! Chcieliśmy po prostu pochodzić po zachodzie słońca po ciepłutkim piasku, w czasie pełni, kiedy niebo jest bezchmurne, kolory oceanu i plaży niemal surrealistycznie zimne, a jednocześnie wyjątkowo silnie czuje się przyciągającą moc wielkiego ledowego dysku. Ocean był tylko delikatnie pofalowany, jak jakieś ogromne bezbrzeżne jezioro. Pieszczotliwie lizał stopy, kiedy brodziliśmy po wodzie.

Tego wieczora na plaży pojawiło się dużo więcej ludzi niż zwykle. Niektórzy zaopatrzeni nie tylko w zwykłe lornetki, ale i ustawione na stojakach lunety. No i aparaty fotograficzne najwyższej jakości, także wycelowane we wschodnie niebo. Całe rodziny z dziećmi i psami. A superksiężyc nie zawiodł. Bardzo dostojnie zaczął się wynurzać zza firanek szaroróżowych chmur, które rozsuwały się powoli, zapraszając na spektakl.

Delikatny pierwszy promień ledowego światła, jakby wahając się, przesunął się powolutku ku brzegowi. Jak srebrna macka. Stanęłam i wpatrywałam się w tę strużkę srebra, połyskującą jak rybia łuska. Światło prześlizgiwało się po załamaniach wody i nabierało siły. Druga, trzecia, czwarta macka i nagle płynęła do mnie już cała droga, aż zatrzymała się u moich stóp. Czy to zaproszenie, mam iść w twoim kierunku, wielki dysku, wstąpić na tę ścieżkę, iść tak aż do linii horyzontu?

– Spójrz. – Głos Lou przywrócił mnie rzeczywistości. – Spójrz na piasek przed sobą, *mon bébé!* Muszla, koncha, piękna, zachowała pomarańczowe kolory!

– Lou, jeśli jest żywa...

– Wiem, znam prawo Florydy: trzeba ją zwrócić morzu, zresztą i bez żadnych przepisów bym to zrobił. Chyba wiesz. Kilka dni temu... Pamiętasz? Ale ta nie jest. Nie jest żywa. Nie.

Kilka dni temu znaleźliśmy na brzegu dużą konchę o intensywnych kolorach. Intensywny kolor świadczy o tym, że muszla jest żywa. Im dłużej leży na brzegu, już bez swojego lokatora, tym bardziej blakną jej kolory. Tamtą muszlę Lou oddał oceanowi, wszedł po pas do wody. „Może jest jakaś słaba, ma zły dzień, wyniosę ją dalej”. To był mój Lou, takiego go kochałam.

– Hej, zobacz no tu! Druga, ciut mniejsza, piękna. Też niezamieszкана! Co za wieczór! Jakies czary.

Teraz ja spojrzałam pod nogi i nieco w bok: trzecia! Fala właśnie wyniosła trzecią muszlę: „Masz, bierz, to dla ciebie”, zdała się mówić.

– Lou, mam trzecią!

Położyliśmy te trzy muszelki koło siebie. Od największej do najmniejszej.

– To chyba ja i ty, i Ninon – powiedział Lou.

Wszystkie były pomarańczowe na wierzchu i fioletowobrazowe od spodu. Lśniły w księżycowej poświacie.

– Tak, to my. Nasza ciut zwariowana rodzinka! – powiedziałam.

– Hej, *mon bébé*! Jest czwarta, mała – Lou wskazał palcem. – Podpłynęła ci do samych stóp, ocean przyniósł ją tobie, nawet nie zauważyłaś!

Rzeczywiście, w przybijającej fali obracała się mała koncha, trochę inna, trochę jaśniejsza niż trzy poprzednie.

– O, czwarta, to już nie wiem. Jest najmniejsza w tym muszelkowym kwarteciku, ale co ma uosabiać?

– A ja wiem – roześmiał się Lou, patrząc na mnie figlarnie – a ja chyba wiem!

Wiedziałam i ja: Lou zacznie kolejną rozmowę o dziecku, a ja odpowiem, że potrzebuję jeszcze trochę czasu, że nie jestem w stanie podjąć takiej decyzji, ale nie, mój mężczyzna mnie zaskoczył.

– Chyba wreszcie weźmiemy pieska. Malutkiego pieska z tego schroniska, w którym czasem pomagasz karmić koty...

Roześmiałam się. Był teraz małym chłopcem.

– No sam wiesz, że to już by było wariactwo!

– Nie pierwsze, *mon bébé*, i, mam nadzieję, nie ostatnie.

Cztery muszelki powędrowały z nami do domu. Kotka je obwąchała, a tę najmniejszą odwróciła miękką łapką i zaczęła się nią bawić.

– Tak. Zdecydowanie mały piesek! No może drugi kot, ale kocurek tym razem!

– Nie, Lou. Jeśli już kiedyś, kiedyś, to mała suczka!

– Będziecie wtedy trzy dziewczyny! Nie, dla równowagi musi być chłopak!

Kiedy przed pójściem do łóżka obchodziłam jeszcze, jak zwykle, mieszkanie, żeby pogasić światła i wyłączyć laptopy, pomyślałam, że ten wieczór na plaży, konchy przyniesione przez wezbrany superprzyływ ocean, mieniające się w srebrnym świetle superksiężyca, to jakaś mocno trącająca kiczem scenka, którą mógł wymyśleć tylko słaby scenarzysta albo... albo sama przyroda. Przecież przed nami i za nami szło brzegiem trochę ludzi, a nie widzieliśmy, żeby komukolwiek trafił się taki piękny połów!